

MOST

Zmierzch Volkslisty

DEKRET POLITYCZNEJ ROZWAGI

Zdaję sobie w całej pełni sprawę z trudności, powstających przy interpretacji artykułu 4 punktu „a” dekretu z dnia 28 czerwca 1946 r. o „odpowiedzialności karnej za odstępstwo od narodowości w czasie wojny 1939—1945 r.”. Punkt ten orzeka, że „nie podlega karze”: „kto zgłosił swoją przynależność do narodowości niemieckiej lub uprzywilejowanej przez okupanta w celu uniknięcia ciężkiego prześladowania ze strony władz albo organizacji politycznych niemieckich za trwanie przy swojej narodowości, jeżeli prześladowania nie można było uniknąć bez szczególnych trudności w inny sposób”. A więc chodzi o przymus. Przymus fizyczny i psychiczny. Wiemy dobrze, że przymus taki na Śląsku był stosowany w skali i rozpiętości, warunkowanej całym szeregiem elementów ubocznych. W nowym dekrete sprawa stwierdzenia lub niestwierdzenia przymusu w odniesieniu do wszystkich kategorii „Volkslist” stanowi podstawę do wszczęcia postępowania za zdradę odstępstwa od narodowości polskiej w latach wojny. Ma to znaczenie raczej teoretyczne, gdyż wobec respektowania przez dekret dotychczasowego załatwienia sprawy trzeciej i czwartej kategorii „Volkslist” dotychczas będzie praktycznie tylko posiadaczy drugiej grupy listy narodowościowej niemieckiej.

Z trudności, jakie wynikają z tytułu stosowania w życie nowego dekretu zdają sobie dokładnie sprawę władze, którym poruczono pieczę i obowiązek wykonywania nowych postanowień. Odbiegają one od szablonów, stosowanych w zwykłych procesach sądowych, stanowią nowość w prawie jako zjawisko, które dotychczas nie znalazło praktyki w jurysdykcji sądowej. Masowe odstępstwo od własnej narodowości, bo takie jest prawne oblicze „Volkslisty”, zyskuje swoje właściwe tło dopiero po stwierdzeniu, że działała to „siła wyższa” i ona to była właściwym impulsem do poddania się aktowi nadania „Volkslisty”. Subtelność wyceny przymusu i bezprzymusu czyli stwierdzonej wolnej woli wpisu na „Volkslistę” posiada zasadniczą wagę w rozeznaniu zdrady lub uległości wobec przemocy. Podpis pod „Fragebogen zur Ermittlung der deutschen Volkshingigkeit” był wynikiem: rozsądku, politycznej rozwagi, strachu, terroru, ba może nawet nakazu moralnego, przymusu fizycznego i psychicznego, stosowanego w różnej skali i natężeniu. Ale: nie zawsze i nie wszędzie w równej mierze. Był on też i radosnym powitaniem zmiany, był funkcją, dyktowaną uczuciami wrogimi względem naszego narodu. Dlatego podpisu tego nie można lekceważyć ani ogarniać generalizatorskim stwierdzeniem, że był on dyktowany tylko i wyłącznie przymusem. Śląsk, jak wynika z oświadczeń b. Gauleitera Brachta, nie był traktowany w stosowaniu przymusu jednakowo. A zróżnicowanie dochodziło często do stanu, który trudno dziś ująć w ramy jednolitej i bezkommentarzowej definicji. Były okręgi, gdzie przymus ten był już niejako stęplą decyzją władz ogólnych. Zróżnicowanie natężenia i siły tego przymusu powodowało dalej stanowisko władz lokalnych aż do „Blockleitera” włącznie. Zgeneralizowanie stwierdzenia stosowania bezwzględniego przymusu na całym terenie Górnego Śląska (Gau Oberschlesien) prowadzi w prostej, konsekwentnej linii logicznego wniosku do zlekceważenia podpisu pod „palcówką” i „Fragebogen”, co w pewnej części społeczeństwa może wywoływać wrażenie darowizny winy. Stan taki stanowiłby mógł na przyszłość precedens w postaci domniemanej bezkaralności zdrady, godzący w najżywotniejszy interes naszego

narodu. Pragnąc jednak wyjść z marazmu subtelności, które dziś znajdują zastosowanie w nowym dekrete przy jego interpretacji w postępowaniu władz lokalnych, ustawodawca określił słusznie jako zasadę, że przyjęcie „Volkslist” odbywało się pod przymusem. Nie oznacza to bynajmniej, jak chcą niektórzy, rozszerzenia oczek w sieci kontroli, lecz tylko zmianę systemu w stosowaniu tej kontroli. Leży to w intencji samego ludu śląskiego, który pragnie od siebie oddzielić tych wszystkich zdradliwych w uległości. „Volkslista” związała ich w jeden blok formą nadania. Stwierdzenie momentu powszechnego przymusu rehabilituje całkowicie lud śląski od zarzutu „zdrady narodowej”, boć wyjątki nie mogą stanowić o regule. A podkreślić to jeszcze raz należy, że w swej masie lud ten pozostał wierny swoim narodowym ideałom. Nie zwalnia to — rzecz zrozumiała — od obowiązku szczegółowej analizy badawczej w wypadkach, kiedy domniemana dobrowolność wpisu na „Volkslistę” powoduje czujność obywatelską oraz sądownictwo do zgodnego współdziałania dla ustalenia winy. Myśl zasadniczą da się więc sprowadzić do reguły: „śląska lista narodowościowa niemiecka była wynikiem powszechnego przymusu. Ale siła i natężenie tego przymusu, skala i jego rozpiętość terenowa była różna, opadając aż do stanu zerowego, który określić trzeba prawie obojętną dobrowolnością i już w marginesowych wymiarach zdradą narodową.”

Na konferencji okręgowej prezesów kół powiatowych PZZ, jaka odbyła się w dniu 16 października 1946 r. w Katowicach, padły słowa, które świadczą, że zasada polskiej: państwowej i narodowej racji stanu, stanowić będzie tło wszelkich poczyną, mających na celu likwidację problemu „Volkslist”, utrudniającego ostateczną stabilizację stosunków ludnościowych na Śląsku. Prokurator Specjalnego Sądu Karnego dr Jarosz stwierdził, co jest zresztą zgodne ze zorientowaną opinią, że „ludność na Śląsku nie zgłaszała dobrowolnie żadnych wniosków, lecz jedynie wypełniała przymusowo formularze na „Volkslisty”. Do odpowiedzialności karnej pociągnięte zostaną tylko te osoby, posiadające „Volkslisty”, które zachowywały się nielojalnie wobec narodu polskiego, co nosi już posmak zdrady. Pozostaje do rozstrzygnięcia około 120.000 spraw, w których prokurator musi orzec winę lub bezwinę wobec narodu. Niezależnie od tego każdemu obywatelowi pozostaje wolna i niczym nie skrepowana droga do wniesienia indywidualnego oskarżenia wobec osób, co do których panuje przeświadczenie, że zachowały się w okresie wojny zdradliwie. Nie dotyczy to (co przewiduje dekret) Niemców, przyznających się do swej narodowości jeszcze w okresie przed wybuchem wojny. Ci są pociągani do odpowiedzialności karno-sądowej za zbrodnie pospolite, popełniane na członkach narodowości polskiej lub za akty gwałtu zbiorowego.

SPOJRZENIE WSTECZ

Dotychczasowe rozwiązanie sprawy „Volkslisty” na Śląsku nie mogło stanowić podstawy do dumy, że we wstępnym boju uporaliśmy się z tym nader trudnym i skomplikowanym zagadnieniem. Regulowanie posiadało zbyt oczywiste luki, co przy dość dowolnej interpretacji przepisów odnośnych dekretów przez władze administracyjne niższej instancji oraz element społeczny w tej materii mało zorientowany lub ulegający przypadkowym a jednostronnym namietnościom, powodowało chaos i szkodliwy marazm. Publicystyka była w pierwszym okresie nowej rzeczywistości oszołomiona nadmiarem nowych zadań. Nie

zwróciła też w odpowiedniej chwili należytej uwagi na to kapitalne zagadnienie. Prasa ograniczała się raczej do dziennikarskich dopowiedzeń do przepisów, które wszak wyrastały w tłumie różnopolin przy przewadze sądu nierzetelnością prawdy bijącego w oczy, że „Śląsk zdradził sprawę”... Opinia ta niesiona wraz z misjonarskim posłannictwem gromiła każdy opór innoopinii, narażając oponenta na podejrzenia sprzyjania „Volskdeutschem”, co w początkowej fazie stabilizowania się stosunków na Śląsku powodowało zgola nieprzytomny suksus w doraźnym i mało zazwyczaj wybrednym załatwianiu sprawy „na gorąco”. Pierwsze dekrety były wynikiem chęci stworzenia platformy praktycznego działania, które by w przyszłości pozwoliło wytworzyć z krytycznego osądu wyrosłe, oparte na obiektywnych przesłankach, postępowanie. Pojęcie przymusu, zwłaszcza jeśli chodzi o pierwszy dekret, nie było ujęte w ramy bliższych określeń. Ustawodawca podniósł w sposób ogólnikowy, że przymus był stosowany do t. zw. „trójek” i „czwórek”. Ewolucja prawdy o Śląsku, studia i opracowania, memoriały do władz (wymienił tu muszę memoriał ks. biskupa Adamskiego, który stwierdzał przymus moralny i psychiczny w akcji przyjmowania „Volkslist”, wyrosły, jak twierdził memoriał, z przejmowania jego i gen. Sikorskiego zaleceń „maskowania się”) oraz — nieliczne co prawda — artykuły publicystyczne, dokonały nowych przeobrażeń, których pośrednim wynikiem było jasne i nie dwuznaczne stanowisko wojewody. W swej mowie z stycznia 1946 r. stwierdził on przymus masowy przy nadawaniu „Volkslist” przez Niemców na Śląsku, podkreślił powolność załatwiania, biegnących nie zawsze zgodnie z intencją ustawodawcy procesów rehabilitacyjnych, zapowiadając jednocześnie wyjście nowego dekretu, który ujednolici postępowanie w sprawie „Volkslist”. Podstawowym hasłem mowy wojewody była myśl, że „braci Ślązaków nie należy usprawiedliwiać (czy ganić), ale przed wszystkim zrozumieć”. A narastanie tego zrozumienia przychodziło wszak drogą powolną, nie osiągając jeszcze po dziś dzień linii ustalonej. Ustawa czy dekret choć załatwia sprawę z punktu widzenia prawa, nie przekonuje jeszcze opinii. Sądy powierzchowne nie zostały jeszcze przez społeczeństwo polskie pogłębione należyście. Od pierwszych chwil wyzwolenia, podlane sosem frazeologicznego patriotyzmu zadawały ból prawdzie nieodmiennie o polskości ziem śląskich. Zewnętrzne for-

Perspektywa

Odry

Jednym z największych zaniedbań Ministerstwa Informacji i Propagandy (a może z inicjatywą tą wystąpić miało inne jakieś Ministerstwo?) jest brak propagandy polskiej w języku niemieckim na terenie Niemiec. Obserwując życie polityczne i kulturalne współczesnych Niemiec widzimy, że krzyżują się w nim wpływy wszystkich ważniejszych narodów europejskich, w pierwszym zaś rzędzie wpływy propagandowe narodów sprzymierzonych. Wychodzą w Niemczech dzienniki i czasopisma opłacane i firmowane otwarciem przez dane państwa. Polska nie należy do narodów okupujących Niemcy, ale w tym propagandowym wyścigu na terenie Niemiec powinna wziąć bezwzględnie udział.

W tej chwili jedyną propagandę i to złą robią nam bandy nierobów, złodziei i faszystów polskiego pochodzenia, którzy, nie mając zresztą poco wracać do kraju, na terenie Niemiec uprawiają swój antypolski proceder.

Musimy mieć na terenie Berlina, który nie przestał być centralą Niemiec, pismo — jeśli nie dziennik to przynajmniej tygodnik — w języku niemieckim, które by informowało Niemców rzeczowo i prawdziwie o życiu współczesnej Polski, które naświetlało by stosunki polsko-niemieckie w przeszłości nie szowinistycznie ale zgodnie z prawdą, które by skupiło na swych łamach dobre pióra pisarzy niemieckich i dawało świetne przekłady z literatury polskiej, które byłoby równocześnie magazynem najaktualniejszych spraw niemieckich. Niemcy lubią czytać, a propaganda pisana przemawia do nich bez względu na to, kto ją firmuje. Nie chodzi nam bynajmniej o zdobywanie Niemców, lecz o rzeczowe prostowanie kłamstw, które stają się zaczynem pod nowe niepokoje. Weźmy przykład choćby tylko z Rosji Sowieckiej, która tę akcję na terenie Niemiec prowadzi umiejętnie i szeroko. Dla wszystkich tych narodów na terenie Niemiec nie jest np. rzeczą ważną ukaranie tego lub owego pisarza hitlerowskiego, jeśli można kupić jego pióro na cele propagandy własnej. Taka polityka jest lepsza.

Kierowników polskiego pisma w języku niemieckim łatwo znajdziemy w kręgu niemcoznawczym poznańskim lub katowickim. Do projektu tego powrócimy w osobnym jeszcze artykule, na razie sygnalizujemy samą myśl.



Klasztor w Lubiążu nad Odrą, w którym w r. 1175 Książę wrocławski Bolesław Wysoki osadził zakon cystersów.

my przyjmowano za treść. Nie wielu od samego początku wnikało w subtelności terenu, uznając przymus pod jaką by on postacią nie występował. Starł się on w opinii niedowiary i nieufności. Nie ustąpiła jeszcze ta nieufność z serc wszystkich. A przecież należałoby mieć zaufania nieco do instytucyj sprawujących pieczę nad sprawami ziemi śląskiej. W swej ostatniej mowie wojewoda śląski jeszcze raz w sposób dobitny stwierdził, że: „przymusowe zapisywania na „Volkslisty“ na Śląsku były powszechne“.

Prasa śląska wszystkich odcieni zjawisko przymusu przyjęła jako truizm. „Trybuna Robotnicza“ (nr. 142 r. 1946) nazwała „gest przyjmowania „Volkslisty“ skokiem z płonącego domu“, uważając, że „choć obiektywnie nie zagrażało zdecydowanej części ludności niebezpieczeństwo, to jednak trudno nie uwzględnić faktu subiektywnego zagrożenia, znajdowanie się w stanie grozy“. Nawet prasa stołeczna, przerywając z rzadka stateczność milczenia na te tematy stwierdzała, że „wobec Polaków na Śląsku stosowany był terror na razie jeszcze bez mordu zbiorowego“. „Każdy „P“, który miał odwagę uchylić się od zaszczytu przyjęcia „Volkslisty“ stawał się zakładnikiem“. (Kurier Codzienny Nr. 139 r. 1945). Podobne stanowisko zajęły „Wici“, uważając, że „przymus przyjmowania „Volkslisty“ nie można utożsamiać z bezpośrednim przymusem, stosowanym do jednostek. (Nr. 15 r. 1946). Autor, wskazywał na fakt, że na Śląsku wszystko, co nie miało „Volkslisty“ z góry skazane było na wytepienie“. Trudno odmówić autorowi słuszności, mając na uwadze choćby okólnik Himmlera z dnia 16. I. 42 r., w którym nakazywał umieszczać w obozach koncentracyjnych osoby niemieckiego pochodzenia, które mimo wezwania nie złożyły wniosku o wpis na niemiecką listę narodową. Komentator do tego rozporządzenia, którego treść pomieszczona została w cennym wydawnictwie „Instytutu Zachodniego“ w Poznaniu („Documenta Occupationis Teutonice“) dodaje, że „jakkolwiek okólnik Himmlera był w zasadzie tajny, to jednak wieść o zawartej w nim groźbie podawano sobie z ust do ust“. I dalej pisze: „bezpośredni nacisk na ludność wywierali t. zw. „Blockleiterzy“. Był to nacisk psychiczny w postaci ciągłego powtarzania ogólnie sformułowanych groźb.“ Dalej komentator zauważa (cytuje) za „Dziennikiem Zachodnim“ z 6. I. 46 r.), że „nie bez znaczenia w tej akcji był fakt utworzenia największego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, właśnie na terenie okręgu śląskiego. Ludność tego okręgu więcej niż w innych wieziała o stosunkach we wszystkich trzech lagrach „Auschwitzu“.

Skala zagrożenia była wielka na całym Śląsku i zrozumienie wielkości niebezpieczeństwa też różne. Poza innymi przyczynami uzależniona ona była, jak już wyżej wspominałem, od władz terenowych, od „dobrych“ i „złych“ „Blockleiterów“, od których wiele zależało, jeśli nie wszystko. Byli wśród nich przekupni, lecz byli i bezwzględni w stosowaniu prawa i bezprawia. Słusznie też interpretuje odnośny ustęp dekretu z dnia 24. VIII. 45 r. w „Demokratycznym Przeglądzie Prawniczym“ (artykuł: „Położenie prawne osób, objętych postępowaniem rehabilitacyjnym“) M. Piekarski, pisząc, że „ustawodawca nie wymaga od pozornie zniemczonych odporności bohaterów, jako koniecznego gestu, lecz zadowalnia się protestem racjonalnym w postaci zdeterminowanego zachowania polskości“. Ludność polska na Śląsku, okupowanym przez Niemców, patrząc na rzecz z punktu widzenia prawa międzynarodowego, mimo siłą narzuconej jej „Volkslisty“ zatrzymywała nadal obywatelstwo polskie (zgodnie z uchwałą konferencji haskiej z 18. X. 1907 r.). Cała instytucja „Volkslisty“ jako bezprawie nie może też powodować skutków prawnych w razie stwierdzenia przymusu (jakkolwiek on by nie był).

Ziemia przez 600 lat wierna, choć pod obcym zaborem w chwili największej próby w jesieni roku 1939 została wyjąłowana z elementu przodowniczego, który zbiegł w głąb Polski. Została ludność bezradna wobec przemocy, zdezorientowana biegiem wypadków. Czy mają prawo nastawać dziś na honor Ślązaka ci, którzy miast wytrwać uszli, pozostawiając lud śląski na pastwę wypadków? Ten zarzut postawił, syn ziemi Śląska Odzyskanego, radny WRN ks. dr. Adamczyk, dowodząc na plenum, że „trzeba było wytrwać z ludem śląskim, żeby móc go ocenić!“ Słowa, wypełnione treścią najserdeczniejszą nie mogą być dziś zapomniane. Pytanie to rzucone w przestrzeń ma swoją wymowę przy analizie

całokształtu spraw, związanych z „Volkslistą“.

Szczegółowego opracowania doczekała się „Volkslista“ w dwu najnowszych wydawnictwach, których omówieniem zajął się w 36 numerze „Odry“ Wilhelm Szewczyk. Autorzy zgodni są, choć może w subiektywnym nastawieniu w stwierdzeniu przymusu w przyjmowaniu „Volkslist“ na Śląsku. Ani cienia nie pozostawiają w przypuszczeniu, że mogło być inaczej (dr. Zygmunt Izdebski: „Niemiecka lista narodowa na Śląsku Górnym“ i Alojzy Targ: „Śląsk w okresie okupacji (1939—1945). „Zastraszenie, pamięć krwawych egzekucyj publicznych września 1939 roku, atmosfera zawodu i opuszczenia były tłem rozdzenia się zbiorowej woli maskowania się w obawie przed likwidacją“. Obaj też autorzy, co zostało już podkreślone przez Szewczyka, a co znalazło swój logiczny wyraz w najnowszym dekreście zgodni są co do zasadniczego załatwienia sprawy „Volkslisty“ na Śląsku argumentując, że: „dla dzisiejszej oceny tych ludzi (posiadających „Volkslistę“) ważny jest nie sam wpis na listę, ale postawa po wpisie“.

JAK PATRZĄ NA ŚLĄSKĄ „VOLKSLISTĘ“ CZESI

Gdy mowa o przymusie, stosowanym wobec ludności śląskiej, warto zwrócić uwagę na głosy prasy czeskiej w odniesieniu do tej części Śląska, która będąc dawniej integralną częścią Gau Oberschlesien posiadała podobne tło „volkslistowskich“ praktyk co i reszta ziem śląskich. Mowa tu więc będzie o Zaolziu, o którym jedno da się powiedzieć. Na podstawie dotychczas zebranych danych musi się dojść do wniosku, że nie było chyba kawałka ziemi śląskiej, gdzie by terror niemiecki tak szalał, jak tu właśnie. Miał on inny może wyraz niż n. p. na Śląsku katowickim, miał charakter permanentny, ciągły, wpięty był w atmosferę, stanowiąc stałą groźbę. Nie miał, jak to było na innych terenach Śląska swoich punktów, za tak powiem, szczytowych. Stanowił raczej płaszczyznę, równię psychicznego nacisku zlekka sfalowaną różnicami, powstałymi na tle mniej lub więcej przypadkowych działań terenowych kacyków.

Wspomagany był przez czynniki wrogie polskości i z tytułu innych racyj (teren wpływów polsko-czeskich). Studia dokładne w tym kierunku ujawniłyby moc zgola rewelacyjnego materiału. Lecz przy tym wszystkim trzeba stwierdzić, znowu na podstawie danych, zestawień wywiezionych, wysiedlonych, wywłaszczonych, osadzonych w obozach, zamordowanych w terenie itp., że nie było może kawałka ziemi śląskiej, gdzieby opór ludności polskiej był tak wielki, jak na jej zaolziańskim skrawku. **Były tu gminy, gdzie procent ludności, która nie przyjęła „Volkslisty“ dochodził do 30%.** I tu zresztą chcąc się pokusić o dokładny charakterystykę ducha oporu należałoby poddać badaniom indywidualnie każdą wieś, gdyż skala nacisków, namów, zastraszeń i jawnego brutalnego terroru wykazywała dość duże różnice. Uzależnione one były od wielu współczynników. Niemcy widząc, że nie złamią wstępnym bojem, jaką była „palcówka“ oporu ludności polskiej Zaolzia, zaczęli stosować terror na długą falę. Czyż dziw przeto, że krew polska w okresie okupacji lała się tu tak obficie? Że więzienia zapełnione były Polakami, że masowo wysiedlano rodziny, że

tysiące obywateli wywożono na ciężkie roboty do „Reichu“? W jednym powiecie fryszackim zamordowano około 400 Polaków. Ten właśnie terro, jaki panował na Zaolziu przy akcji nadawania „Volkslist“ zgodnie stwierdziła cała prasa czeska.

W grudniu ubiegłego roku dziennik „Prace“ pisał na ten temat: „Pewny charakter narodowy Cieszyńiaków nigdy nie był „nałamany“. „Volkslisty“, to było jedyne wyjście z sytuacji, która ludowi śląskiemu groziła całkowitym wyniszczeniem“. Przewodniczący Zemskeho Narodniho Vyboru w Morawskiej Ostrawie, inż. V. Chamrad stwierdził w styczniu 1946 r., że sprawa „Volkslist“ musi być szybko załatwiona, aby naprawić krzywdę, wyrządzoną ludowi śląskiemu przez okupanta. Wszyscy muszą być z otwartym sercem przyjęci do społeczności słowiańskiej, którzy inaczej nie sprzeniewierzyli się swoim narodowym zasadom, jak tylko przyjmując „Volkslisty“. Nikt nie śmie im już wypominać ich przeszłości i nikt nie śmie nimi pogardzać. Bo wszak znamy aż nadto dobrze terror, w jakim następowało przyjmowanie „Volkslisty“, znamy dobrze metody hitlerowskiego nacisku, gospodarczego zniewalania i indywidualnego zagrożenia.“ A jeszcze w listopadzie 1945 roku przewodniczący Okresniho Narodniho Vyboru w Czeskim Cieszynie, poseł V. Pavlik w artykule, pomieszczonym w „Tesinskich Novinach“ pt. „Potrzebujemy serca śląskiego ludu“, daje wyraz wielkiej dbałości o ten lud, stwierdzając, że lud słowiański Zaolzia, poddany był metodom najbrutalniejszego nacisku politycznego i gospodarczego. „Śląsk sam w sobie stanowi tak specyficzną strukturę, że zrozumienia go na tle jego warunków rozwoju historycznego dać dopiero może podstawę do obiektywnego sądu“. Poseł Pavlik ostrzega przed wyrokami zbyt powierzchownymi, przed oskarżeniami zbyt pochopnymi, powstającymi zazwyczaj na skutek nieznajomości sedna zagadnienia. „Mądrością państwową — pisze on w wyżej wspomnianym artykule — jest pozyskać serca ludu śląskiego a działa w odwrotnym kierunku ten, kto widzi rzeczywistość w zbyt subiektywnym świetle“. Również „Głos Ludu“, organ KPCZ (Komunistyczna Partia Czechosłowacji), stwierdzał wielokrotnie przymus stosowania „Volkslisty“ na Śląsku. „Niech nikt się nie dziwi — czytamy w jednym z numerów tego pisma — że lud nasz starał się o dokument, który stawał się jedynym ratunkiem przed niechybną śmiercią“.

BEZPRZYMUS PRZEJAWIAŁ SIĘ W CZYNIE

Poświęciłem dużo miejsca stwierdzeniu przymusu w przyjmowaniu „Volkslist“ na Śląsku, ostrzegając jednak już na wstępie przed bezkrytycznym generalizowaniem tego zjawiska. Między bezwiną całkowitą a winą udowodnioną jest jeszcze większe narodowe obojętności, który siłą rzeczy nie podlega żadnej klasyfikacji. Zdrady jednak narodowej dopuścili się jedynie nieliczni Polacy - Ślązacy. **(Ciekawe pod tym względem byłoby zestawienie z G. G., gdzie wszak obok heroizmu i bezprzekładnego bohaterstwa kwitła też zdrada najpodlejszego gatunku).** Bo do zdrady w tym sensie, zdrady popełnionej względem własnego narodu nie można zaliczać wyczynów tych wszystkich, którzy byli i pozostali nie tylko w paszporcie ale w sercu Niemcami: przed, podczas i po wojnie. Była to może

już wina naszej rozrzutnej lekkomyślności, że pozostawiliśmy ich w naszych narodowych szeregach. Nikt rozsądny nigdy nie łudził się co do nich. Stanowili awangardę wojującego hitleryzmu, prawie bez wyjątków. To osobna grupa ludzi i niezależnie od tego, gdzie ich wszeregowali okupanci muszą pozostawać poza tematem wszelkich rozważań na temat „Volkslist“. Odstawiam ją na uboczu, aby nie tłumila jasnej myśli, pragnącej się uporać z problemem, który jest naszą wewnętrzną sprawą, **sprawą polską.** W tym świetle jeszcze raz należy stwierdzić, że wierność Śląska w trwaniu w duchu polskim nie może podlegać zastrzeżeniom. Przez wieki cały Śląsk udowodniał, że umie być wiernym i lata wojny mimo terroru nie mogły złamać tej jego duchowej postawy. Być może, że dziś ci lub inni, korzystając z trudności, powstających przy analizie prawdy, zasłaniają się tarczą bezkaralności, wykorzystując argument przymusu (fizyczny, psychiczny, moralny) jako atutu bezwiny. Bezprzymus, wolna i niczym nieskrępowana wola: są to w dużej mierze akty psychiczne, które trudno mierzyć paragrafem lub określić suchym prawidłem definicji. Jak odróżnić maskę od rzeczywistości? A wszak wiemy dobrze, że jednak byli tacy, co swą narodowość, co prawdą wątpliwą zamienili na literę „V“ z radością i ochotą. Tych odróżnić łatwo. Śladu prawdy o sobie nie potrafili zatrzeć za sobą. Zgodna opinia sąsiadka wykruszyć ich winna z własnego środowiska. **Pozostawili za sobą czyny, czyny, które winny ich sądzić. Czyny ich po wpisie na „Volkslistę“ są odbiciem ich wewnętrznej struktury duchowej i wartości jako Polaków.** Bezprzymus swego odstępstwa udokumentowali swoim postępowaniem, swoim zachowaniem się, swoją postawą niegodną imienia Polaka. I tu działanie „penetracyjne“ winno zagarnąć w części i tych, którzy pozostali bez „Volkslist“. W wielu wypadkach z przypadku. Pukali do drzwi germańskiej świątyni: nie wpuszczono ich do wnętrza. To nie może dziś stanowić podstawy do dumy narodowej. Czyny niech osądzą ich, wykazując ich właściwe intencje. Boć i są tacy, co z maską polskości pomagali wroga nie zawsze namuszni do tego potrzebą egzystencji życiowej. Dla tych co mimo terroru, mimo nacisków, mimo przymusu takiego czy innego nie ustąpili i zwarli się w zdeterminowanym oporze, zachowując czystość intencji brak innych określeń, jak bohaterstwo. Ale obok nich, jak uczy choćby przykład wiernego Zaolzia, nie brakło posiadaczy „Volkslist“ dzielnie stojących w bojowej postawie patriotycznej, często oddających swe życie dla dobra sprawy. Iluż zginęło ich w obozach koncentracyjnych, iluż tkwiło w konspiracji? Wpadł mi w ręce dokument-sprawozdanie organizatora tajnej pomocy społecznej (Śląsk za Olzą) w okresie okupacji, mówiący językiem bezwzględnej szczerości o roli, jaką pełniły niektóre a dość liczne t. zw. „trójki“ w tej niebezpiecznej akcji. Ile z nich poszło do więzień, z których nie powróciło? Ilu Polakom z głębi Polski nie Polakom, lecz służącym wspólnej sprawie walki z wrogiem, uratowały życie. Byli to najlepsi Polacy, świadczący czynem a nie papierem. Praktycznie rzecz biorąc akt dobrej woli w przyjęciu „Volkslisty“ utożsamia się więc w dalszym działaniu w duchu niemieczyny. I tu tkwi cały sens nowego dekretu: **nie karać „Volkslisty“ jako takiej, lecz jej posiadacza w tym wypadku, gdy ten przez swe działanie niezgodne z pojęciem solidarności narodowej dopuścił się zdrady, której format i wielkość określają czyny udowodnione.**

Problem „Volkslist“ musi zniknąć z terenu Śląska. Znieść go musi nie tylko dekret, ale i rozsądna i beznamiętna opinia publiczna. Nie wolno nam tanim hasłem szermować tam, gdzie idzie o interes narodu i państwa. Zagadnienie „Volkslist“ to mozaika, spłot przyczynowy, głębia o szerokim podłożu historycznym, psychologicznym, socjologicznym, gospodarczym i politycznym. Akademickie rozważania nie prowadzą jednak do jądra istoty. Czucie i rozumienie zrodzić się tylko może ze znajomości terenu, z bliskiego współżycia z terenem. A z tego wyjść musi jedna i jedyną konkluzja: Śląsk jest w swej głębi polski. Sama forma („Volkslista“) nie może stanowić winy w samej sobie. Winę stwierdza bezprzymus, uplastyczniony w nieoljalnym czynie względem własnego narodu, czynie, popełnionym po akcie dobrowolnego wpisu na „Volkslistę“. Nie ma bezprzymusu tam, gdzie polskość choć zastęga w niemocy przejawiania się trwała w sercach i mózgach w zdeterminowanym akcie wierności swemu narodowi.

MŁODZI POECI WROCŁAWSCY

Elżbieta Miłanczówna

Natarcie

Ziemia odbiegła cię w pędzie...
Przed tobą kule
skaczą srebrną pletwą
w płynny tynk.
Kiedys
tak samo
błyszczały karpie
u brzegów błękitnej Narwi.
Teraz Wisła jest szara
i wielka jak pragnienie.
Ale przy ostatniej bramie
pozostał ci tylko granat
i przestrzeń
rozwizdane stado kosów
ogarnia cię podmuchem;
padasz
jak dziecko goniące pszczołę
z rękami wyciągniętymi
w biały sztywny oblok.

Pochylał się nad tobą:

— nie myśl,
że usta moje

są tak zimne.

Jan Pierzchała

Ziemia jest trudem

Ziemia jest trudem. Palce przeszkła cisza,
że aż do bólu nieuchronne trwanie.
Z sił dostać przestrzeń i niech świt się
dźwiga,
lamentem do dnia ręce łamać słabe.

Sprawy o ziemi — twarz ludzi kamienna,
że wyzwiskami o miasta uderzać,
że jak truciznę przyłożyć i niech tam
wargi nie urwą nigdy więcej chleba.

Ziemia jest trudem O ojcu schylonym
nie mów w upadły czas rewolucji.
Ojcu spod bluzy potrzeba wziąć płomień
a kamień z piersi w szyb otwarty wrzucić.

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (9)

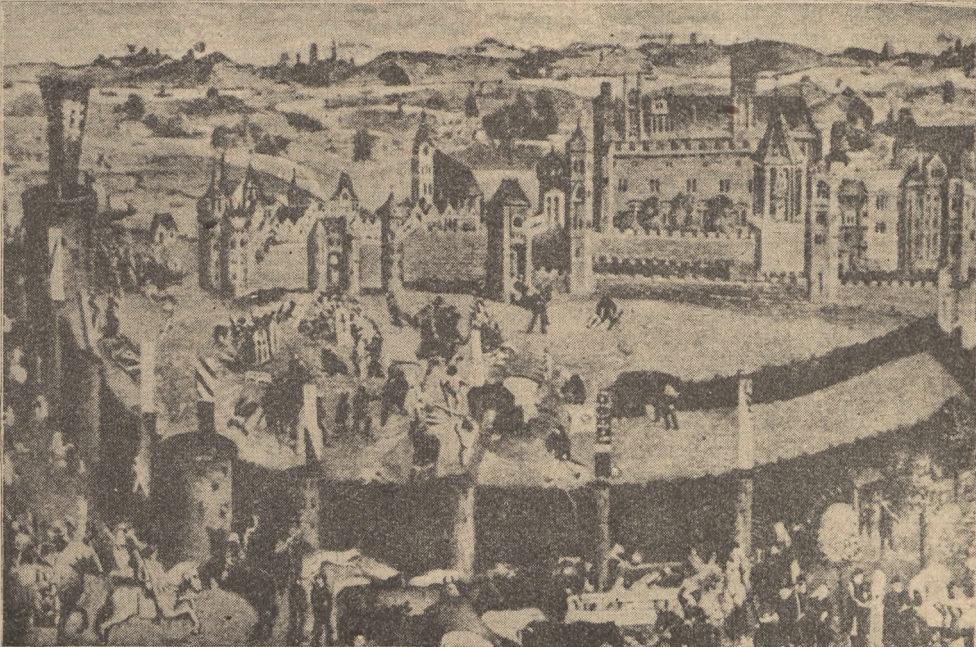
Epitafium malborskie

Na wyjazd do Malborka decyduję się pod wrażeniem Morąga. Dotąd nie miałem jeszcze pewności, do którego z trzech miast Powiśla ograniczy się mój wypad na ziemię, która sama dała w czasie plebiscytu więcej głosów za Polską, niż Warmia i Mazury razem wzięte. Zagadnienie brzmiało: Malbork czy Kwidzyn i Sztum. Kwidzyn miał przed wojną piękne tradycje polskie. Tu znajdowało się jedno z dwóch gimnazjów polskich, istniejących w granicach III Rzeszy, tu ongi było jedno centrum polskiej roboty plebiscytowej. Według informacji, zasięgniętych w Olsztynie, w Kwidzynie i Sztumie uchowały się niedobitki polskich działaczy oświatowych, którzy mogli rzucić ciekawe światło na przeszłość Powiśla. Niestety w wyborze, jaki miałem zrobić, nie było kompromisów. Trzeba było decydować albo — albo. Mimo lektury ks. Damrotha, który w r. 1886 bawił w Prusach Królewskich i podkreślał chybiony efekt rekonstrukcji Malborka, oraz zanikanie już wówczas żywiołu polskiego na ziemi malborskiej, zdecydowałem się na Malbork. Żał było optymizmu, wyniesionego z Rodzisk i Morąga i tej niezwyklej okazji, jaką dawał, by na Malbork popatrzeć okiem węższym od przesądów i goryczy. Przecież ten symbol krzyżackiej przemocy, nigdy lepiej jak dziś, nie świadczył o sile polskiego ducha i upartym dążeniu polskim do szlaków odwiecznych przeznaczeń. Mimo całej swej potęgi okazał się zbyt słaby, aby spętać naród walczący o prawo do życia.

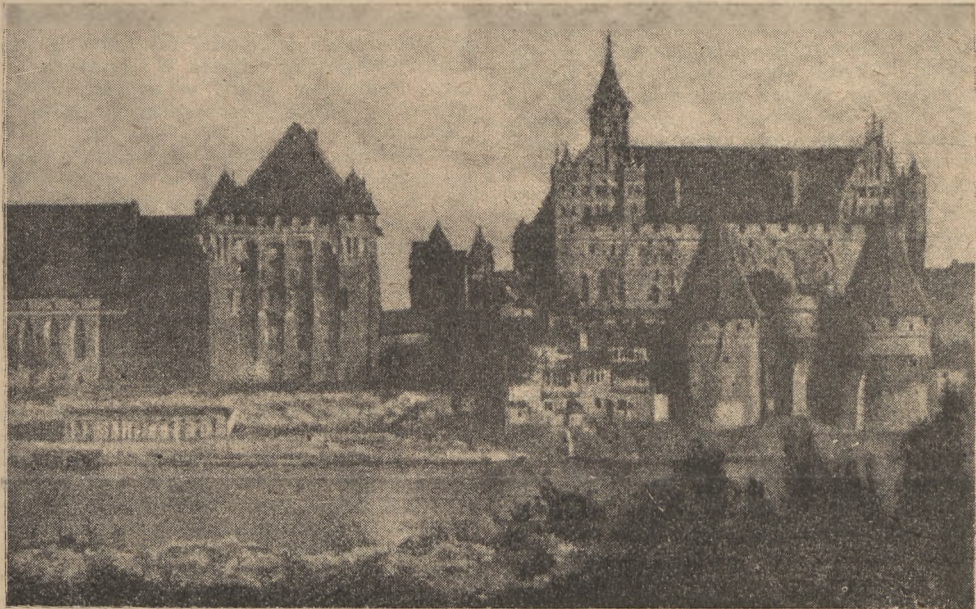
Nie wiele pozostało w Prusach pamiątek z krzyżackiej przeszłości po ludności rodzimej, o którą wspierała się potęga Zakonu. Wielkie nawy kościołów i sieć imponujących zamków, oto jedyny akord, jaki wydobywa się z piersi pruskiej ziemi, gdy się ją pyta o prace dawnych wieków. Iście nie-ludzki musiał być ucisk fiskusa krzyżackiego, jeśli o ludziach, z których pracy, wyrzeczeń, krwi i potu powstały wspaniałe, na wyrost i pokaz wznoszone budowle, mówią jedynie w lochach odkrywanych piszczelach, nierzadko tkwiące jeszcze w żelazach. Zakon krzyżacki wyłania się z oblicza tej ziemi jako ciemnyżyciel. Ceglana jego spuścizna, imponująca rozmiarami i rozmachem, przepuszczona przez alembiki historyczno-gospodarczych realiów ma wymowę świadectwa o obyczajach państwa-wampira, pijącego soki żywotne z eksploatowanej ziemi wyłącznie na swój własny wzrost.

Ludność ubogich wiosek warmińskich, mazurskich czy pomorskich, zniszczona najpierw podbojem, potem rabunkową gospodarką, dyrygowaną spod ramion słynnych krzyżackich szubienic, budowała kontrasty, do dziś dnia uderzające swą rozpiętością. Świetność i nicość. Gdyby nie żywiołowe bunt i rozpaczliwe porywy przeciw czerwonym molochem zamków, coby za ślad historyczny pozostał po tych, z których trudu i poniżenia powstały.

Zamek malborski przewyższa świetnością wszystko, cokolwiek w Prusach dzwignęła nieludzka buta Zakonu. Ten brytan, rozłożony u gardzieli Nogatu, nawet z oddalenia wieków imponuje rozmiarami ceglanych mas, przytłacza ciężkością, przeraża wizją dawnej niezwyciężoności. Jeśli zamki prowincjonalne i budowle kościelne były miarą nacisku komturów na poszczególne



Obleżenie Malborka po bitwie grunwaldzkiej w r. 1410. Obraz znajdował się w domu Artusa w Gdańsku.



Widok zamku w Malborku.

prowincje, ten istny gigant obrazuje straszliwą presję, z jaką gospodarka zakonna wyciskała z nieszczęsnego kraju maksymalny potencjał ekonomiczny, by zrównoważyć siły wielokroć potężniejszej Polski.

— Ex luto Marienburg, z błota Marienburg — chepił się w „Krzyżakach” Konrad v. Jungingen wobec Zyndrama z Maszkowic — ale błota tego moc ludzka nie pokruszy.

Był to jeden z najwspanialszych zamków średniowiecza, jedna z legendarnych, niezdobitych twierdz i jeden z pierwszych europejskich dworów. Do tego słońca ścia-

gały wszystkimi szlakami zastępy rycerskie na świetne malborskie turnieje, a jeszcze bardziej na wymaginowaną walkę z poganami. Przed samym Grunwaldem ni mniej ni więcej tylko 22 narody wysłały tu swoich przedstawicieli, w nie najmniejszej mierze dlatego, że ten imponujący sztyl zakonnego państwa, zasłonił im wgląd w cyniczną i pełną fałszu rzeczywistość zakonną.

— Twierdza widzi mi się nie do zdobycia — mówił jakby w zamyśleniu rycerz polski — ale...

— Ale co? Co w niej możecie przyganić?

— Ale każda twierdza może zmienić panów.

Wychowany na albumach grunwaldzkich z czasu pamiętnego obchodu krakowskiego, intuicją dziecka wyczuwałem grozę zza wizerunków malborskiego zamczyska. Karty albumów zaludnione przez krzyżackie upiory, odwracane strona po stronie to w zamyśleniu, to z wstrząśnieniem dreszczu, były mimo wszystko, najbardziej pasjonującym zajęciem dzieciństwa. Albumy grunwaldzkie stanowiły klejnot dziadkowego domu i do nich tęskniło się całą siłą upragnień młodości. Malbork, to był ten chybiony pocisk, wymierzony w filar słynnej „polskiej” sali, to był cichy, a serdeczny ból, że na najpiękniejszej karcie ojcystych dziejów brak było tylko zwycięstwa nad nim. Myśli płynęły doń same, instynktownie jakby z prądem wiślanej fali, dążąc do Bałtyku. Malbork lat dziecińczych był miarą wielkości własnego kraju, która przecież musiała być niezwykle, skoro on też musiał być aż tak potężny.

Z kipielska gruzów starego miasta malborskiego pyszne legowisko krzyżackiego gadu wyglądało mało interesująco. Ażurowa siatka belkowań dachu ściga główną uwagę ponad szczytem świętojańskiego kościoła. Wielka czerwona buda nie obiecuje żadnych wzruszeń, rozczerwawia. Ciężki sowiecki czołg wymierzył długą lufę w strome ściany gmachu i tak został w otoku trawy, oplatającej pogruchotane człony gasienic.

Trzeba przejść kilkaset kroków drogą wiodącą nad Nogat, by ujrzeć zamek w całej okazałości i całym dzisiejszym poniżeniu. Postrzelana fasada odmiejska ciągnie się daleko wzdłuż drogi, długą nad podziw linią. Pokruszone przez pociski mury nie zdołały zatracić potężnej wymowy i wszystkich akcentów siły. Budowla, oszpecona liszajami rozprysków, poszczerbiona przez bomby, narzuca ciągle jeszcze myśl o tych czasach, gdy bucie jej zagrażały śmieszne kamienne kule, miotane z mosiężnych luf. Jakże wspaniała musiała być w oczach średniowiecznego człowieka.

— Czy nie widzisz malborskiego zamku — brzmiało przysłowiowe pytanie na ziemi malborskiej, gdy ktoś nie dostrzegał zjawisk aż nazbyt oczywistych.

Te resztki dumnych kształtów tracą dopiero, gdy je porównać z niemiecką pocztówką, przedstawiającą tę stronę w czasach świetności. Z wielkiego polnego głazu narzutowego widać wyraźnie na tle jasnego nieba załamania ciemnych brył bloków, wież i umocnień murów i zamazanie dumnych konturów. Białeś poutraćanych ścian idzie dziś na kompromis z bladeścią błękitu, któremu do niedawna uragała krwistą hardością. W środku budowli, niby spazmatyczny wybuch szloch rozpada się blanki, aby dać widok na wspaniałe ongi kościoły zamkowe, dziś najstraszliwszą z malborskich ruiny.

Kościół malborski był niezwykle zabytkiem, a także symbolem, choć w ogromie gmachu zajmował nad wyraz skromne miejsce. Zakonni budowniczowie myśleli przede wszystkim o mocy i świetności twierdzy, a nie o miejscu na kontemplację. Kościół stanowił osłabienie murów i, jak nauka zapoznanego Mistrza, przydatny był tylko jako parawan. Wydzielono mu skromne miejsce, za to dla pozoru umie-

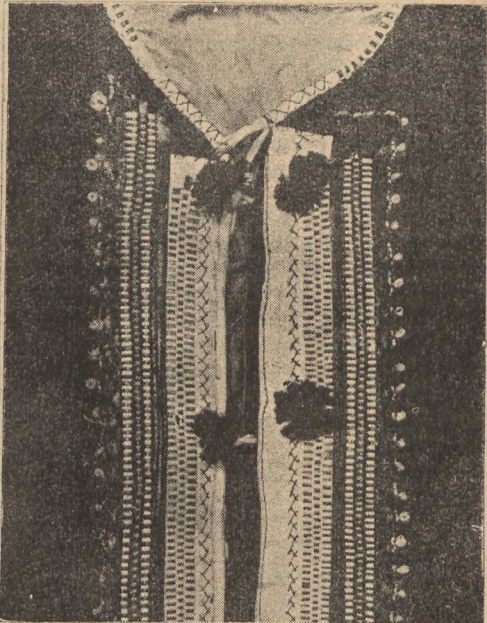
Cieszyński zapomniany region



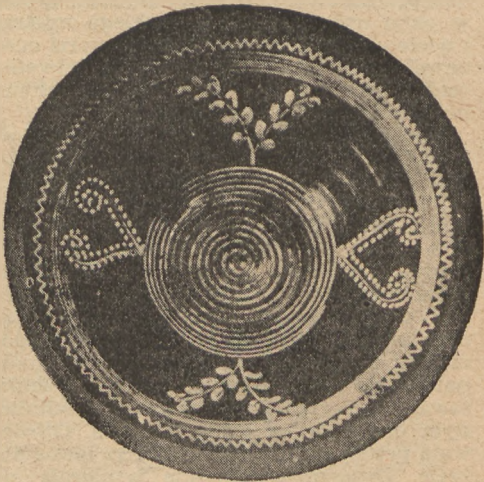
Fragment szafy ludowej.



Piękny dzbanek jabłunkowski.



Skórzane aplikacje na przodzie góralskiego kozucha z Konjakowa.



Misa z Wisły. (Reprodukcja w/g „Zarania Śląskiego”, rok XIII/1937).

szczono w ścianie monstrealnej wielkości mozaikową Madonnę, Patronkę Zakonu, której męskie i surowe rysy odpowiadały tylko krzyżackiemu wyobrażeniu Bogurodzicy.

— Mówia, że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu — jęczył Konrad uczucia Zvndrama.

— Tam na skale nie masz tyle miejsca, ile tu na równinie — odparł pan z Maszkowic — ale serce u nas ga Wawelu większe.

Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi. — Nie rozumiem.

— Bo cóż jest sercem w każdym zamku, jak nie kościół? A nasza katedra za trzy takie jak ów obstanie.

Mimo to wszystko jako dzieło sztuki kościół nagradzał wnętrzem zewnętrzne oszpeccenie. Obraz Matki Bożej, bezmiennego malarza, zdobił w całym tego słowa znaczeniu główny ołtarz. a budowane na pokaz mury katedry były jedną z najbardziej udanych kompozycji malborskich.

Dziś największa cześć w murach Malborka ziele w miejscu, gdzie stał kościół. Bomby rozwarły jego wnętrze, zmiażdżyły harmonię łuków gotyckich, pozdzierały wraz z tyńkiem polichromie aż do nagich cegieł. Gdyby nie bezgłowy Chrystus, który pozostał na krzyżu, można by powiedzieć, że nie nie przechowało się tu tak, jak zamierzyła przeszłość. Rozdarte wnętrza świątyni skłębły się w chaosie cegieł i potrzaskanych belkowań, rozbite ściany padły do środka naw, a na to wszystko runęła słynna marienburska wieża, której szczątki przelały się przez wyrwę w murze i poleciały aż na zielone dno fosy.

Ktoby chciał sądzić o stanie zamku z odmiejskiej strony, musiałby wydać wyrok na stare krzyżackie legowisko. Uchodzący za Wisłę Niemcy po raz ostatni przyjęli walkę w malborskiej fortecy, żądając od niej przed odejściem spłaty włożonych wysiłków i nie zawahali się przyjąć mocno zdewaluowanej daniny osłony od zgrzybiałego zabytku.

Ale zamek malborski jest ogromny. Wystarczy przejść się ku Nogatowi, a potem skręcić wzdłuż nieruchawej rzeki, aby ujrzeć drugie oblicze Malborka, nie tknięte miazdzącą pięścią wojny. Ucierpiała surowa, jakby dla obrony przeznaczona część odmiejska, padł kościół z krzyżackim wizerunkiem Bogurodzicy, ale najwspanialsze, reprezentacyjne partie z nieproporcjonalnie jak na gotyk dużymi oknami, granitowe ornamenty i kolumny, ocalały. Wysoki i średni zamek, spięte stylowym mostem zwodzonym każdego słonecznego dnia, utartym sposobem, odbijają się w wodach Nogatu.

Trudno orzec, gdzie rozpanoszona buta krzyżacka znalazła jaskrawszy wyraz: na zewnątrz czy na wewnątrz zamku. Ogółcone jego sale mówią głośno i dobitnie o żądzy twórców, by wszystko, co tylko tu się mieści, było po niemiecku „grossartig”. „Grossartig” jest posępny i zagadkowy podwórzec średniego zamku, „grossartig” o wiele mniejszy, cudowny dziedziniec arkadowy wysokiego, pełen śródziemnomorskich reminiscencji, wspaniałe sa kwadratowe sale wielkich mistrzów o palmowych sklepieniach, stopniowane w rozmiarach. Ciężka potęga niemieckiej wielkości wyraża się tu zarówno w brutalności militarnych umocnień, jak i w subtelności, obcym pięknie. Osadzono je na pokaz, po prostaku wśród narzędzi przemocy. Malownicze zwodzone mosty, ożywione kontrastem światła i cienia, sąsiadują z ukrytymi dziedzińcami. Tam w honorowych miejscach, na stałe wmurowane, stoją słupy kaźni, rdzewieje żelastwo przegięte, zaś w zacisznych wnękach muru widnieją, symboliczne dla władzy Zakonu, szubienice. Nad wszystkim góruje tu przewidująca myśl. Zarówno efekty, jak i strona użytkowa są troskliwie obmyślane. Spod dźwigni szubienic skazańcy patrzeli prosto w okna apartamentów wielkiego mistrza i wiele zachodzących bielmem śmierci oczu unosiło w ostatnią drogę daleką sylwetkę osobliwego mnicha, który z za załomu muru doglądał żniwa śmierci.

Wszakże pycha żywota krzyżackich zakonników ujawnia się nie tylko w lubowaniu się w przemocy. Krzyżacy kochali się w komforcie i technicznych udogodnieniach, które stosowali zarówno w dążeniu do wygody, jak i perfekcji podstachu i podglądu, w których przebiega się ich zbrodnicza mentalność. Opustoszały zamek do dziś dnia zachował resztki zastanawiających urządzeń kredensowych, wind, wodociągów i centralnych ogrzewań. W komnatach malborskich ma się szeroko potraktowany przegląd średniowiecznej techniki. Była ona cała na usługi Zakonu. Olsniewała przebyszów, a na wewnątrz ułatwiała życie. Dyscyplina zakonna wspierała się między innymi i o systemat tajemnych podglądów i przejść. Tam gdzie nie docierał wzrok wielkiego mistrza, mimo pieczołowitego rozplanowania jego apartamentów, tam uszy i oczy zauszników znajdowały wszelkie konieczne udogodnienia. Ciemne salki z glazurowanymi posadzkami, bajeczne pokoje mistrzowskie, imponujące remiery miałyby swój niezaprzeczny urok, gdyby nie uczucie jakiejś mafijnej dusz-

ności, jaka je wypełnia i świadomości, że nie ludzki despotyzm starał się wszelkimi środkami uczynić z nich pułapki w systemie przenikliwej i podstępnej kontroli. Nawet w przylegającej do kościoła sali komturów czuje się na sobie czarne ślepie ukrytych wzierników.

* * *

Na jednej ze ścian wysokiego zamku widnieje lakoniczna tablica niemiecka: Conrad Steinbrecht dem Wiederhersteller der Marienburg 1882 — 1922.

Na dziedzińcu zaś średniego niemiecka ręka umieściła inne dziełczynienie dla barona Schoena, prezesa pruskich prowincji, któremu Malbork zawdzięcza odnowienie i pedantyczne uwiecznienie wszystkich, nawet najdrobniejszych, śladów przeszłości. Wytrwale rozdymali krzyżacy świetność swej siedziby, nie mniej wytrwale trzeba było ją ratować od zniszczenia już za czasów spadkobierców zaborczych metod.

Po pierwszym rozbiore wpał Malbork w prusackie ręce, a wkrótce w zupełną ruinę. W protestanckim Königreich Preussen przez długi czas krzyżacka przeszłość cieszyła się jak najfatalniejszą sławą. Dla obywateli króla pruskiego wielkość tej przeszłości zaczynała się przeważnie od sekularyzacji, tj. od zniszczenia form organizacyjnych Zakonu. Wielki Fryc nie darował sobie jednak drobnej przyjemności odebrania hołdu stanów trzech zagrabionych w rozbiore województw polskich, właśnie na malborskim zamku, jak półtora wieku potem Frank nie mógł odmówić sobie „zwrócenia” Malborkowi kopii sztan-darów grunwaldzkich z wawelskiej katedry.

Wielki „filozof z Sans-Souci” nie widział poza tym dostatecznego powodu, by starej krzyżackiej ruderze okazywać jakies względy. Po odbytych hołdzie, tragicznym dla nowych przymusowych poddanych, uznał, że wspaniały remter komturów nadaje się jedynie na ujeżdżalnię, a jedyne w swoim rodzaju apartamenty wielkiego mistrza przeznaczył na warsztaty tkackie. Te warsztaty były oczkiem w głowie wyrachowanego Fryca i póki ich stało zamek miał tytuł do względów dworu. Nie trwało to zresztą długo. Troskliwie konserwowany w czasie polskich rządów, zamek rychło popadł w zaniedbanie w rękach niemieckich i został obrócony w istną ruinę. Taka była reguła w owym czasie w państwie „bojaźni Bożej”. Dziesiątki innych obiektów pokrzyżackich uległo wówczas rozbiore na cegłę, a setki (zwłaszcza kościołów) na długo jeszcze potem potraciło za-bytki wewnątrz na rzecz masowej tandety neo-gotyckiej. W r. 1804 minister v. Schretter zdecydował rozbiórkę zabytku i w ciasnej prusackiej głowie obliczał dochody ze sprzedaży starej cegły. Wojna francuska uratowała zamek z nad brzegu przepaści. Wprawdzie Francuzi spłądowali grobowce wielkich mistrzów, ale przysługa, jaką Napoleon wyświadczył Malborkowi, warta była dziesięciu takich ofiar. Po „Befreiungskriegu” Niemcy już innym okiem zaczęli patrzeć na narodowe pamiątki. W r. 1817 wspomniany baron Schoen zaczął poruszać umysły losem nieszczęsnego zabytku. Sentymentalny teraz, jeśli idzie o „wschodnie” Prusy, dwór niemiecki z kronprincem na czele, dał się łatwo zjednać dla objęcia patronatu, a za tym przewodem całe Niemcy ogarnął stadny zapal przodowania w odbudowie Malborka. To, co niszczało dzie-

siatki lat, odnowiono teraz w ciągu kilku, ale już w duchu patriotycznie niemieckim ad usum politycznej rzeczywistości. Między nią a minioną przeszłością praca artystów przerzuciła pomost ze znaną niemiecką subtelnością i osobliwym potraktowaniem prawdy historycznej. Pracowita poprawność polichromii i pedanteria w rekonstrukcji zdążyły do wytworzenia pozoru jakiejś niedościgłej idealności Zakonu i nierozrównalnego związku „wschodnich” z „zachodnimi” „Prusami”. Kaisery i wielcy mistrzowie wbrew regułom czasu i obiek-cjom historii ujęli się czule pod ręce w fantastycznych alegoriach. Ani wzmianki nie zrobiono o tym, że malborskie relikty powstały z strasznego ucisku ludności, że były narzędziem przemocy, że często drżały w posadach od buntów rozpacz. Malbork należał przecież do związku miast pruskich w wojnie trzynastoletniej i wpuścił w swe mury polską załogę. Polską przeszłość potraktowano sumarycznie i obwiniono o wszystkie zaniebania i zniszczenia. Była to generalna rozprawa z polskością, którą po wojnie 1870/71 przeniesiono także na aktualną płaszczyznę. Wszyscy posiadacze ziemscy, zalegający w landszafcie królewskiej, zostali eksmitowani z ziemi malborskiej, podobnie jak zabytki polskie z malborskiego zamku.

Krzyżacy, mój przewodnik po Prusach i tropach krzyżackiej przeszłości, notują taki passus w związku z zakonną stolicą.

— W jakiej myśli to mówicie? — pytał wściekły v. Jungingen Zvndrama, w trakcie dysputy o niezwykłości Malborka.

— W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkimi sądy i wyroki Boże — odparł rycerz polski.

Nie minęło półtora wieku od wysiłków Schoena, a po kamiennych posadzkach, po glazurowanych ceglach i marmurach stukają stopy polskich dzieci. W słynnym remterze komturów, jakby w wyniku jakiejś zbiorowej zmywy, rozbrzmiewa „Rota” i „Bogurodzica”.

— Fortuna variabilis — mawiał do innego najeźdźcy Staropolski w przeświadczeniu, że istnieje nieomylna sprawiedliwość dziejowa, która koryguje zakusy, poparte nie prawem, lecz przemocą. Malbork po raz drugi w ciągu swych dzieł doświadczył na sobie jej działania. Tysiące polskiej młodzieży, wiedzionej zrazu, zwykłą ciekawością, patrzy na powalonego niemieckiego olbrzyma i uczy się, że nie tylko gwałt i siła fizyczna znaczą w życiu narodów.

Niezłomność ducha i siła słuszności też mają swój ciężar gatunkowy. Malbork, jedno z odnalezionych przeznaczeń ziemi pruskiej, nie stanowi w tym względzie wyjątku. Stał się woli najeźdźcy, by na zawsze odciąć naturalne dążenie Polski do Bałtyku. Miał spętać jedno z ramion wiślanej delty. Miał odwrócić bieg pruskich przeznaczeń. Pod jego fundamenty rzucili Niemcy rodzimą krew i znój, w jego wroście uwieźli potężny ładunek zaborczej energii. Malbork ssal soki pruskie, polskie i niemieckie, miał chwilę zawrotnej wielkości, a mimo to nieodmienności przeznaczeń nie zdołał przełamać.

Sprawa odbudowy Malborka nie tylko zajmuje kompetentne czynniki konserwatorskie. W dyskusji: odbudowywać, czy nie, konserwować zamczysko, nie nie, bierze udział masa zwiędzających. Polakowi trudno jest patrzeć obojętnie na te mury, choć nie wszyscy czerpią z nich jednakową

naukę i nie jednakowych doznają wobec nich uczuć.

Entuzjazm młodzieży do tego jedyne-go w swoim rodzaju zabytku jest zrozumiały. Malbork rozpała wyobraźnię, pobudza bieg myśli. Po nastrojowych chóralnych śpiewach w remterze komturów, ludzie młodzi przełamują łatwo uprzedzenia i urazy i w zamku widzą więcej, niż ciało obce wrosłe w ojczystą ziemię. Młodzież chłonie chętniej relacje o polskiej przeszłości trzy-wiekowej historii Malborka, niż o krzyżackiej. Wynosi ona stąd świadomość, że kiedyś Malbork stał w morzu polskości okolicznej, był stolicą polskiego województwa, siedzibą wojewodów i starostów, a w czasie najazdu szwedzkiego dał dzielny opór Karolowi Gustawowi. Nie trudno jej też uwierzyć, że złe duchy ciemieców zostały wyswięcone z tych murów na zawsze, że dalsze losy zamczyska wytyczać będzie polska przyszłość, nie krzyżacka przeszłość. Dlatego młodzież wypowiada się stanowczo za odnowieniem zamku i nawrotem do jego polskiej świetności.

Dorośli rzadko kiedy bywają tak jednomyślni, jak młodzi. Dla wielu z nich powrót na odwieczne naturalne szlaki rozwojowe nie stanowi dostatecznej rekompensaty moralnej i nie zaspokaja głodu emocjonalnych wyładowań. Starsze pokolenie, zwykle mniej zorientowane w przeszłości, wypowiada się częściej za starciem Malborka z oblicza ziemi.

— To nawet lepiej, że się sam rozpada — oświadczył mi z zacietością jakiś człowiek w średnim wieku — oszczędzi nam to konieczności rozbiórki. Mniej więcej podobnie, choć w formie bardziej barbarzyńskiej, wypowiedzieli się panowie Kłopotek, Sypka, A. Warchał z Jasła i wielu innych, smarujących z zapalem po ścianach. Niektórzy, co bardziej wojowniczy goście, nie poprzestali na mazaniu ścian i zwrócili przeciw nim... karabiny. Diabeł i Judasz z zamkowego refektarza, prezentują powysztzelwane oczy i podziurawioną garderobę. Niezwykle piękne maskary na głowicach kolumn mają poutrącaną twarz. Taka jest reakcja drugiego obozu „dysputantów”.

Malbork nie jest obojętny polskiemu sercu i nawet przez ślepe odruchy świadczy, że w życiu naszego narodu, stanowi pozycję realną i konkretną. Obojętne, że jedni widzą w nim tylko symbol niemczyzny w jej najgorszej postaci, a nie dostrzegają w zaślepieniu polskiej tradycji, innym za to wydaje się ona bardziej istotna i przesłania koszmara, których i tak z dzieł naszych nie zdołamy usunąć. Ludzie myślący, mam wrażenie, bez reszty podziwiają to zdanie.

Piękny, bądź co bądź, ceglany czerep, z którego chyba bezpowrotnie uleciał zły duch niemczyzny, stanowi jeden z najcenniejszych zabytków średniowiecznego budownictwa i przedstawia obiekt ludzkiego piękna i obiecujące łożysko dla polskiego natchnienia artystycznego. Trzeba by się postarać, aby ten pogląd na zamek malborski utworował sobie drogę do niektórych umysłów.

Antagoniści Malborka, jako miazdzący argument wytaczają niemieckość stylu. Mistrzowie i Kaisery ze ścian, oraz głęboka ignorancja podają sobie zgodnie dłoń, gdy padają tego rodzaju „oświadczenia”. Niestety przewodnicy nie zawsze interweniują w tych wypadkach i nie przyswajają szkodliwych nonsensów.

Jadwiga Żylińska

Książki dzieciństwa

Od najwcześniejszego dzieciństwa otaczały mnie książki i książki przyczyniły się w dużej mierze do ukształtowania mojego światopoglądu, który wyszedł jakoś cało z tej katastrofy, w której one same uległy zniszczeniu. Chciałabym poświęcić parę słów tym książkom, o których pamięć z dzieciństwa zabrałam z sobą w życie dorosłe. Najpierwszą moją książką nie był ani elementarz ani żadne bajki tylko trzy tomy dramatów Shakespeare'a, na których sadzano mnie w jadalni przy stole, ażeby w ten sposób podwyższyć moje krzeselko. Nie pamiętam już dokładnie jak nauczyłam się czytać, w każdym razie widzę siebie stojącą przed krzeselkiem, z którego przed chwilą zeszedł i sylabizujący dialogi podpisane pod ilustracjami. Dramaty były bowiem z ilustracjami, w tłumaczeniu Kraszewskiego. Ulricha i Paszkowskiego, otrzymane w spadku po wuju mojej matki, dziwaku-profesorze z Wrocławia. Wkrótce znalazłam na pamięć wszystkie dialogi pod ilustracjami a także ważniejsze osoby, co mi pozwalało na kolejne odgrywanie ich o zmroku w pustym salonie. Ta znajomość Shakespeare'a była raz powodem skandalu, gdy użyłam przy babci, bawiącej u nas z wizytą, wyrazu „bękart”.

W tym samym mniej więcej czasie usłyszałam wieczorem w łóżku fragment „Nędzników”, czytany na głos przez moją matkę w sąsiednim pokoju. Przeżyłam wówczas straszną grozę samotnego człowieka, uciekającego przed pościgiem nocą — ulicami wielkiego miasta. Lata minęły, zanim dowiedziałam się dalszych losów zbiega, tego samego, który małą Cosettę wyrwał z rąk złych Thenardierów, co było drugim i ostatnim fragmentem zasłyszczanym następnego wieczora.

Po tak nielegalnie zawartej znajomości z Lady Macbeth, Ofelią, królem Lear'em Jean'em Valjean i Thenardierami zaczęłam oficjalnie czytać bajki Grimma i Andersena. „Historię o Marysi i Krasnoludkach” „Alicję w Krainie Czarów” i przeszedłam przez wszystkie etapy „Ani z Zielonego Wzgórza”. A potem zdarzyło się, że zachorowałam na szkarlatynę. Miałam wtenczas lat jedenaście. Choroba była bardzo ciężka i rekonwalescencja długa. Tę rekonwalescencję wspominam jako okres przełomowy, w którym przestałam być dzieckiem. A było to tak: w miarę jak przychodziłam do zdrowia nudziłam się straszliwie tym więcej, że byłam odseparowana od mojej siostry. Mama robiła co

mogła, kupiła mi francuski kwartet kwiatowy i ruletkę, w co też grałyśmy na przemian po osiem godzin dziennie. W końcu umiałam już na pamięć wszystkie nazwy fleurs odoriférantes i „champtres” a ruletka zrujnowała tak doszczętnie mój budżet, że zapożyczyłam się nawet u babci, która w ogóle była dość skąpa ale na hazard wyrozumiała. Wtedy to pewnego wieczoru mama zaczęła mi czytać na próbę „Rodzinę Brochwiczów” Orzeszkowej. A gdy wyzdrowiałam, było już rzeczą przyjętą, że każdego wieczoru mama czytała na głos jedną powieść Orzeszkowej po drugiej, podczas gdy ja robiłam do niej ilustracje. Ilustracje te robiłam dla przyjemności, lecz ciocia Zosia zaczęła je rysować dla wydawnictwa. Cały dom był teraz pełen szkiców, robionych przez zagraniczną kuzynkę mamy. W tajemnicy przed nią dorysowałam wszędzie po parę kresiek, ażeby też wziąć udział w powstawaniu albumu. Wydanie tego albumu nie doszło później do skutku, lecz w domu moich rodziców przetrwały aż do wojny uroczyste portrety ołówkiem Ewy, Klary Wygrycz i księcia, Franki z balią w rękach, Meira Ezofowicza i Goldy z koźną na tle leśnej polany, Rozalii, Sewerny, Kamilli, Wacławy. Nie mogę powiedzieć, ażeby specjalnie lubiła powieści Orzeszkowej. Kochałam się kolejno w Winiejszu, Ryszardzie Lwie Serce i Gary Cooperze, ale nigdy w żadnym z bohaterów Orzeszkowej, a przecież jej powieści ocalały w mej pamięci jako te, które

Tymczasem zdanie znawcy problemu ks. B. Mańkowskiego, autora cennej monografii, poświęconej sztuce pomorskiej (wydano Toruń 1932) o budownictwie krzyżackim winno być jak najczęściej cytowane w Malborku.

„Być może, że wzorował się... (Zakon) na zamkach własnych na innych terenach wznoszonych, ale i konstrukcja tychże nie była własnością duchową Zakonu, lecz zda-

Andrzej Wydrzyński

Sprawa Romana Niewiarowicza

(Artykuł pierwszej potrzeby)

Dotknęła Polskę nowa klęska, ozprze-strzenia się co raz bardziej i zaczyna ura-ścić do rozmiarów niepokojących:

KAŻDY PRZECIW KAŻDEMU.

Tak można ją sformułować.

Nie wiem, gdzie szukać jej rodowodu ideologicznego — czy w kontuszowym pniactwie, czy w szabelkowej nadwrażliwości, czy w apaszowskiej swadzie przedmieść?

To co było złe — i było wczoraj, powtarzać dzisiaj z ustokrotnionym uporem? Czy dlatego męczyliśmy się w obozie koncentracyjnym Generalnej Guberni? Zapomnieliśmy już? Szkoda.

Bo pan A uwielbia jakiegoś emigracyjnego generała i z tego to powodu zaszyteliłował socjalistycznego posła B.

A obywatel G jest z PPR. Dlatego inni „demokraci“ L, E, i F wybili szyby w mieszkaniu obywatela G.

Więc obywatel G nie kłania się od tego czasu obywatelowi H z S. D.

W trakcie dyskusji na ten temat obywatel I z szóstej partii uszkodził obywatelowi J z siódmej partii oko.

Bo inaczej myślał. Nie domyślił się, że trzeba tak myśleć, jak w natchnieniu wymyślił te mświły myślący obywatel K.

I dlatego pałka!

Przykład inny:

— „Kuźnica“ jest nic nie warta! Sami komuniści.

— Czytał pan „Kuźnicę“?

— Nie.

— Więc niech pan przeczyta!

— Poco? Sami komuniści!

— Czytał pan ostatni „Tygodnik Powszechny“?

— Przedostatniego też nie czytałem.

— Jest tam ciekawe sprawozdanie ze zjazdu...

— Co mi tam za zjazd w „Tygodniku“! Same kłechy!

— Ależ ja myślę o zjeździe literatów!

— Kłechy to kłechy. Zjeżdżaj pan.

Zjeżdżam. Nie znam się napałkarskich dyskusjach. Na moja dziedzina. Kłechy to kłechy — a dureń to dureń. Niby prawda.

Panoszy się wie!możnie w Polsce nie obeschlej jeszcze z krwi

ATAKOMANIA

prowadzona z rozmachem iście goebbelsowskim, z zaciekłością godną śp. Juliusza S-reichera.

najpierwsze zaczęły formować mój stosunek do ludzi.

* * *

Na tle „smakownych albumów“ w salonach babek Hortensji i Ludgardy pani Orzeszkowa odważnie poruszała zagadnienia, których doniosłość wykazała epoka współczesna. Na długo zanim panie zaczęły fabrykować drewniaki i ciastka, — bo o dwie wojny wcześniej — Orzeszkowa kazała swoim pannom uczyć się rzemiosła, odpowiedniego ich zdolności, a nie hierachii społecznej i o pół wieku wcześniej niż Lady Chatterley została żoną gajowego, wydała zamaż Justynę za Janka Bohatyrowicza, co bynajmniej nie było propagandą mezaliansu, lecz doboru naturalnego w małżeństwie. Wreszcie lata przed wybuchem nowej fali antysemityzmu w Europie szukała Orzeszkowa dróg, które by ludziom dwu ras, skazanych na przebywanie z sobą w jednym kraju, umożliwiło wzajemne zrozumienie. Później inni pisali o tym mądrzej, nowocześniej, w oparciu o całą skomplikowaną wiedzę psychoanalityczną. Z tego jednak, że tak dużo dowiadujemy się o nich i o sobie, nie nauczyliśmy się ich kochać. Stary krawiec Judel i nędzarz Gedali, sprytny Eli Makower i tragiczny Meir Ezofowicz są ludźmi, których Orzeszkowa uczyniła nam bliskimi. Nie są pseudonimami dla naszych kompleksów i urazów, lecz naszymi przyjaciółmi, a w każdym razie bardzo dobrymi znajomymi. Im więcej

niem wybitnych badaczy niemieckich... oparta na reminiscencjach syryjsko-palestyńskich i normańsko-sycylijskich z dawnych terenów działalności Zakonu.

Czworokąt budowli z krążankiem wkoło dziedzińca i z najważniejszymi salami zapożyczony był od klasztorów średniowiecza. Efekty kolorystyczne (wzory z różnobarwnych cegieł i fryzy z napisami) wzięte od Arabów. Przedziwne sklepienia refek-

Do bron! Szarża! Na bagnety! Igrzyski! — Poco? Za co? Dlaczego? Chyba z zawodu.

W takim razie zostawcie literaturę. Jedźcie do Hiszpanii. Wyrwajcie muchom skrzydła, zastawiajcie łapki na myszy — ale nie krzywdźcie człowieka!

Przy każdej sposobności chwalimy się dumnie światu, że nie mieliśmy Quisslinga, że nie ugięli naszych twardych karków Niemcy.

W rzeczywistości uginamy nasze karki dzisiaj: przed ich ideologią nienawiści i deptania człowieka.

Uginamy, ponieważ postępujemy często w myśl ich zasad.

Heil Hitler!.

Proponuję, żebyśmy zaprzestali pozdrawiania rzeczywistych i urojonych przeciwników w ten sposób.

Nie wznosmy w górę otwartej dłoni, to nie jest w dobrym tonie.

Więcej kurczuazji — Towarzysze!

Take it easy — Obywatele!

Więcej miłości bliźniego — Bracia w Chrystusie!

ROZUMIEMY SIĘ

Nie będę roztrząsał tych problemów na płaszczyźnie ogólnej, powiedzmy obywatelskiej. Nie to jest celem mego artykułu pierwszej potrzeby.

W każdym razie jesteśmy bliscy porozumienia, przypuszczam, że już się rozumiemy.

Od bieguna — do bieguna

Od „Kuźnicy“ — po „Tygodnik Powszechny“.

Właśnie o tym chcę mówić.

O tym również, że niektórzy współpracownicy p. Żółkiewskiego nie szukają prawdy na rynku, ale że błędząc — znajdując ją wedle zleceń św. Augustyna w sobie.

Jako przykład niech nam posłuży

SPRAWA ROMANA NIEWIAROWICZA

wystarczająco jasna i nie zagmatwana, by ją jako przykład użyć. I chociaż klimat „Kuźnicy“ służy mi lepiej, niż klimat „Tygodnika Powszechnego“, w imię uczciwości muszę stanąć w tej sprawie po stronie wyżej wymienionego tygodnika.

Wyjaśnim to dlaczego:

„TYGODNIK POWSZECHNY“

„...Udnie mi się w repertuarze przeprowadzić takie pozycje autorskie, jak: Perzyński, Zapolska, Rittner autorów węgierskich, czeskich i włoskich, utrudnia-

niem wybitnych badaczy niemieckich... oparta na reminiscencjach syryjsko-palestyńskich i normańsko-sycylijskich z dawnych terenów działalności Zakonu.

Czworokąt budowli z krążankiem wkoło dziedzińca i z najważniejszymi salami zapożyczony był od klasztorów średniowiecza. Efekty kolorystyczne (wzory z różnobarwnych cegieł i fryzy z napisami) wzięte od Arabów. Przedziwne sklepienia refek-

tarzy krzyżackich — już na kilkadziesiąt lat przedtem mają Anglicy, z którymi Zakon utrzymuje ożywione stosunki handlowe...

Istotnie nie wiele Zakonowi można przypisać twórczej inicjatywy i zasługi, nawet w odniesieniu do własnych jego zamków.“

Niestuszenie wielu ludzi myśli o Malborku jedynie jako o żyjącym wśród nas wrogu. Zamek nie zasłużył na taką krzywdzącą

jak jak się tylko dało, wystawianie sztuk autorów niemieckich, polecanych i narzucających przez Propagandaamt“.

„...budzący się opór (Horwatha) wobec moich żądań, znacznie studzą listy i pogrozkami i zapowiedziami sądu, jakie mu co pewien czas posyłamy Wykorzystując taką właśnie chwilę strachu i depresji Horwatha, proponuję mu wystawienie sensacyjnej sztuki belgijskiego autora Kistermaeckers'a pt. „Szpieg“, ze znaną kreacją Junoszy Stępowskiego w roli pułkownika. Szuka ta była grana przed wojną na wszystkich scenach polskich i zagranicznych, oczywiście z wyjątkiem scen niemieckich.

Treść sztuki — to historia oficera francuskiego z roku 1914, który w imię honoru i miłości ojczyzny, zabija szpiega niemieckiego proponującego mu zdradę kraju.

„Ze sceny padają słowa: „Ojczyzna, radość ojczyzny, obowiązek wobec kraju“ itp... Na scenie dla teatru nikt donosu nie robi“.

(R. Niewiarowicz, „Tyg. Pow.“ Nr 93) „KUŹNICA“

„...pan Roman Niewiarowicz, były reżyser warszawskiej „Komedii“, teatru w służbie niemieckiej propagandy w czasie okupacji...

„rkm,*“ „Kuźnica“ Nr 44 (62) **ZDROWY ROZSADEK**

Tak brzmi komentarz do tego, co ten pan przeczytał w „Tygodniku“. Czy mówi o „Moralności pani Dulskiej“? Może o sztuce Kistermaeckers'a, zabronionej przez cenzurę niemiecką? A może dlatego, że to w „powszechniku“?

Sprostowanie

Gdyby nie ten notatki — podejrzewałbym drukarnię o chochlik: przed słowem „propagandy“, siódmy wiersz od góry zamiast „niemieckiej“ — powinno być „polskiej“...

Wątpicie?

LIST OTWARTY

do obywatela wątpiącego

Nie znam organizacji, do której należał p. Niewiarowicz, nie chcę go również brońić zdaniami jego publikacji. O organizacji, o której mówicie, że nie wychyliła się jeszcze z mroków konspiracji — wiem tyle:

P. Niewiarowicza aresztowano za przynależność do organizacji, aresztowano

*) Pisząc obywatel rkm — myślę wyłącznie o autorze wymienionej notatki.

tarzy krzyżackich — już na kilkadziesiąt lat przedtem mają Anglicy, z którymi Zakon utrzymuje ożywione stosunki handlowe...

Istotnie nie wiele Zakonowi można przypisać twórczej inicjatywy i zasługi, nawet w odniesieniu do własnych jego zamków.“

Niestuszenie wielu ludzi myśli o Malborku jedynie jako o żyjącym wśród nas wrogu. Zamek nie zasłużył na taką krzywdzącą

jak jak się tylko dało, wystawianie sztuk autorów niemieckich, polecanych i narzucających przez Propagandaamt“.

„...budzący się opór (Horwatha) wobec moich żądań, znacznie studzą listy i pogrozkami i zapowiedziami sądu, jakie mu co pewien czas posyłamy Wykorzystując taką właśnie chwilę strachu i depresji Horwatha, proponuję mu wystawienie sensacyjnej sztuki belgijskiego autora Kistermaeckers'a pt. „Szpieg“, ze znaną kreacją Junoszy Stępowskiego w roli pułkownika. Szuka ta była grana przed wojną na wszystkich scenach polskich i zagranicznych, oczywiście z wyjątkiem scen niemieckich.

Treść sztuki — to historia oficera francuskiego z roku 1914, który w imię honoru i miłości ojczyzny, zabija szpiega niemieckiego proponującego mu zdradę kraju.

„Ze sceny padają słowa: „Ojczyzna, radość ojczyzny, obowiązek wobec kraju“ itp... Na scenie dla teatru nikt donosu nie robi“.

(R. Niewiarowicz, „Tyg. Pow.“ Nr 93) „KUŹNICA“

„...pan Roman Niewiarowicz, były reżyser warszawskiej „Komedii“, teatru w służbie niemieckiej propagandy w czasie okupacji...

„rkm,*“ „Kuźnica“ Nr 44 (62) **ZDROWY ROZSADEK**

Tak brzmi komentarz do tego, co ten pan przeczytał w „Tygodniku“. Czy mówi o „Moralności pani Dulskiej“? Może o sztuce Kistermaeckers'a, zabronionej przez cenzurę niemiecką? A może dlatego, że to w „powszechniku“?

Sprostowanie

Gdyby nie ten notatki — podejrzewałbym drukarnię o chochlik: przed słowem „propagandy“, siódmy wiersz od góry zamiast „niemieckiej“ — powinno być „polskiej“...

Wątpicie?

LIST OTWARTY

do obywatela wątpiącego

Nie znam organizacji, do której należał p. Niewiarowicz, nie chcę go również brońić zdaniami jego publikacji. O organizacji, o której mówicie, że nie wychyliła się jeszcze z mroków konspiracji — wiem tyle:

P. Niewiarowicza aresztowano za przynależność do organizacji, aresztowano

*) Pisząc obywatel rkm — myślę wyłącznie o autorze wymienionej notatki.

bez reszty opinii, ani przez swą przeszłość, ani przez wartość artystyczną, ani przez moralną, jaki z jego dzieł da się wyciągnąć. Wbrew zamiarom wrogów dążył do nas z całą ludnością Prus w epoce krzyżackich rządów, dzielił z nami wieki świetności, tak długo, jak długo umieliśmy go utrzymać, a dziś wrócił do Polski, bo takie jest przeznaczenie wszystkiego, co się na pruskiej ziemi znajduje.

wraz z nim ponad 70 osób. Widziałem w Cross-Rosea, jak ludzie ci odchodzili z mroków konspiracji“ w mroki Hadesu — via krematorium. Faktem jest, że p. Niewiarowicz został skazany na bezterminowy pobyt w karnym obozie koncentracyjnym za należenie do organizacji podziemnej. w t. zw. sprawie masowej — a nie indywidualnej!

Możecie zarzucić, że wielu ludzi aresztowano niechętnie, w ścisku, że zamykano w obozach nawet paskarzy.

Nie zarzucajcie, zarzućcie ten zarzut.

Znam akta sprawy p. Niewiarowicza. Znam je również: Wojciech Dzieduszycki (Wrocław), Ryszard Kiss (Katowice), Stefan Wysocki (Częstochowa), inż. Kwiatkowski (?) może dr. Jagielski (Kraków) — wymieniam żyjących, których pamiętam pocóż umarłych wymieniam!

Otóż w obozie, przed przyjęciem p. Niewiarowicza do „grupy zaufanych“ prześledził jego papiery zatrudniony w wydziale politycznym (jako pisarz) Stanisław Karpinski, (człowiek o niezwykłych wartościach moralnych, serdeczny kompan. W dniu ewakuacji obozu rozstaliśmy się, jego dalszych losów nie znam).

Dlaczego dotychczas nikt nie zabrał głosu w tej sprawie? Być może, że nie czytają „Kuźnicy“, być może, że nie czytają „Tygodnika Powszechnego“.

Być może, że... czasy pogardy...

Są tacy, którzy wolą atakowanemu nie pomagać. Młeczenie jest złotem — mówią. Inni znów mówią, że jeżeli nikt kogoś nie broni, no to jazda do bronni — i strzelać!

Obywateli! Z tego wynika dla Was, że winni są ci, którzy milczeli. Oni dopuścili do powstania krzywdzących napasci.

Gdybyście znali lepiej tę sprawę, nie atakowaliłbyście.

Znam Was z innych wystąpień, one każą mi w to wierzyć.

Ale dlaczego nie poszliście wprzód na rynek?

Mądry Żółkiewski miał rację.

ckm

ODEZWA

do społeczeństwa w sprawie teatru „Komedii“

Teatr „Komedii“, w powodzi podległych programów teatrzyków, jakimi była zabagniona stolica w okresie okupacji — wystawiał polskie sztuki w polskim języku.

Teatr „K media“ umożliwił przeżycie ciężkiego okresu wojennego polskiemu aktorom; dzięki temu nie musieli oni „podać piwo i wódkę niemieckim żołdakom“ nie musieli trudnić się pasiarstwem, mogli w swoim zawodzie bez upodlenia służyć sprawie polskiej.

Teatr „Komedii“, w przeciwieństwie do kin i teatrzyków rewiowych, nie płacił żadnych podatków na dobrojenie armii niemieckiej.

Teatr „Komedii“ nie był nigdy na usługach propagandy niemieckiej, a grając sztuki polskich autorów — był kontrpropagandą, był placówką polskości.

Czyja to zasługa?

Romana Niewiarowicza, który nie dopuścił sprzedanych Niemcom kanałii w osobach Syma i Horwatha do prowadzenia tego teatru, do stworzenia jeszcze jednej możliwości gadzinowego zatrucia jadem hitlerizmu społeczeństwa, zatrutego do dzisiejszy dzień aż radto: pamiętacie Kraków, Kielce, pamiętacie dworzec Łódź — Kaliska.

Jaka popełnił zbrodnię ten Niewiarowicz?

Ja nie znajduję w nim winy.

Czy nie należałoby w miejsce krzywdzących napasci uczynić coś bardziej uzasadnionego?

Zaproponować urzędzenia małej akademii w jakąś wolną od ataków niedzielę? I podziękować mu na tej akademii za to, że był takim.

Koniec odezwy.

PROBLEM

Czy tych, którzy w obozach niemieckich urządzali polskie przedstawienia można postawić pod zarzutem kollaboracji?

NIE!

Bo przypominali nam Polskę, bo kazali wierzyć, że żyje, że warto wytrwać! Mogą być z tego dumni.

Czy tych, którzy w obozie niemieckim Generalnej Guberni urządzali polskie „przedstawienia“, można postawić pod zarzutem kollaboracji?

NIE!
Kto myśli inaczej — może myśleć inaczej. Gwarantuję mu to „Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela“.

Bądźmy jednak logiczni! Nie powtarzajmy zasłyszanych gupstw! Uwierzymy narzeczcie, że ziemia krąży wokół słońca!

LIST OTWARTY

do obywatela rkm z „Kuźnicy“
Jakkolwiek macie rację w innych wypadkach — mylicie się pisząc o Niewiarowiczu: „wszystkie dowody jego patriotycznej działalności zaginęły“.

Nie zaginęły. Mogę przedstawić Wam co najmniej stu ludzi z datami urodzenia, z zawodem, z przeszłością, z miejscem zamieszkania — którzy widzieli jeden dowód: wrzuceni, zbliżeni nagle do Polski, patrzyli zażwachczonymi oczyma na dowód wyczarowany przez kollaboracjonistę Niewiarowicza.

Czy byliście w obozie koncentracyjnym? Jeżeli tak, to żalujecie, żeście nie byli w Gross-Rosen. Jeżeli nie — czytacie w dalszym ciągu, zrozumiecie. Gdybyście nie zrozumieli, to zarumienię się za was, to... nie jesteście warci „Kuźnicy“, to... To nie możliwe. Zrozumiecie na pewno!

Szczerze oddany
cłm

Adres zwrotny:

Jeśli nie mam. Wybaczenie. Ratuje mnie ta okoliczność, że znam siedem osób — i każdego dnia sypiam u innej. Żeby się nie znudzić).

Cieszę się obywatelu! PODRÓŻE, TO NIE TO, CO REDAKCJA. PODRÓŻE KSZTAŁCA!!!!

Cieszę się obywatelu, że mamy Polskę, że mamy „Kuźnicę“ i że mamy „Tygodnik Powszechny“.

Latający literat

A. W.

POCZTÓWKA

z widokiem ogólnym na Ziemię Odzyskaną
Zebrzydowice, listopad

Kochana Babciu!
Jestem już tutaj, cieszę się, że zobaczmy się wkrótce.

Zebrzydowice są pierwszą stacją w Polsce, na której zatrzymano nasz repatriacyjny transport z Niemiec. Na razie się tylko trochę boimy, bo konwojują nas Amerykanie aż do Dziedzic. W Dziedzicach nie będziemy się bać. Stoimy na stacji już cztery godziny i słyszymy cztery godziny tango Notturmo. Przez megafony. Felek mówi, że jak oni tu byli pierwszy raz, to grali cały czas „Rozpłakali się wierzby płaczące“. Też przez megafony. Jak oni umieją zmieniać te melodie, to dlaczego grają bez przerwy tango Notturmo? Czy to jest hymn państwowy teraz? Jeden kolejarz mówił, że nie.

Naprzd byłam całkiem głupi i nie wiedziałem dlaczego, ale jak przeczytałem w „Kuźnicy“ taki list z pogrozkami na Niewiarowicza — to już wiedziałem. Jedną płytę można ciągle grać i nie potrzeba wstawiać do gramofonu.

Wdzięczny Wnuczek.

NOTATKA

Chciałbym, żeby ten dokument był ostatecznym w aktach sprawy Niewiarowicza. Chciałbym przekonać zainteresowanych nie po to, by otwierać nową serię notatek polemicznych artykułów.

Operujemy przykładem — p. Niewiarowicz jest tylko przykładem, nie zgubmy sensu rozważań.

Ta notatka dotyczy głównie słoń w sklepach z porcelaną.

RZECZ O MILCZENIU

Opiszę zdarzenia, które p. Niewiarowicz przemilczał. Chcę udowodnić i udowodnię, że właśnie to milczenie „oczyszcza go“ (z czego?) bardziej niż ogłoszone dotychczas przez niego publikacje, lepiej niż notatka w „Kuźnicy“.

Odczujecie sympatię i podziw.

ROZDZIAŁ OSTATNI

w którym jest mowa o mojej śmierci, o braku heroizmu w Andrzejku Wydrzyńskim, o jego wynalazkach dla III Rzeszy o wigiliach w obozie koncentracyjnym; także o Tadeuszu Hollendrze, Stanisławie Wyspiańskim, Wojciechu Dzieduszyckim, o góralach i aniołach. o reżyserze, który pod pisał wyrok śmierci i o Katiuszy.

Nie bałem się śmierci. Byłem na śmierci skazany.

Aresztowanie moje miało pewien związek z aresztowaniem Tadeusza Hollendra (1943 r.) Oprócz oskarżenia o przynależność do KIM-u, i kompromitującego mnie materiału, znalezione w czasie rewizji — przedstawiono mi również w trakcie przesłuchania („przebijania“) wiersz pt. „Hitlerowi“, który dał Tadeuszowi Hollendrowi przed jego wyjazd do Lwowa. Nikt inny tego wiersza nie znał, być może. że znaleziono go przy nim, nie uzyskując żadnych informacji, ta wersja odpowiada mi.

Nie przyjąłem proponowanego mi na przesłuchaniu autorstwa tego wiersza, nie

niałem się czym chwalić, nie był znów taki dobry. W każdym razie te i inne powody aresztowania wystarczyły w zupełności, by skazać mnie z czystym sumieniem na śmierć. Wyjątkowo sprawiedliwy wyrok i protokół niezłożonych zeznań, podpisywałem w kancelarii biura politycznego w obozie koncentracyjnym.

Przed wykonaniem wyroku ratowała mnie jedna okoliczność: pracowałem jako fachowiec pierwszej kategorii w warsztatach elektromontażowych Siemens dla przemysłu wojennego Niemiec. Budowałem precyzyjne aparaty do wyrobu i do spawania siatek w lampach radiowych, do badania tych lamp itd., budowałem je, mając o tym takie pojęcie, jakie można mieć o literaturze po zdaniu matury.

W praktyce na pewno nie mieli Niemcy z moich „wynalazków“ pociechy, jak zresztą wszyscy zauważyli, nie przyniosły im one spodziewanego zwycięstwa. Były to rzeczywiście wynalazki! Można było np. oprzeć na nich stopę i czyścić buty, można było siedzieć na nich, grać w „oko“ w okopach, rozłożyć serwetkę pod śniadanie, oprzeć się na nich w niedbałej pozycji, położyć, pisać listy, przenosić je wraz z linią frontu, który się cofał na z góry upatrzone pozycje — ach! były super uniwersalne! ... nie spawały jednak siatek w lampach radiowych...

Kontrolował te cuda z ramienia firmy Siemens — sowiecki inżynier Borys Just, więzień, sabotażysta czystej wody, „Flauweiss“ sabotaż! Ten wspaniały chłopak ryczał z uciechy, klepał mnie „wstrząsająco“ kwalifikował jako „in Ordnung“ i kazał odstawiać do magazynu ekspedycji.

Jednak fakt, że montowałem, uczynił ze mnie po zdaniu teoretycznego egzaminu, majstra pilnującego montażu innych wynalazków i odrzucił wykonanie wyroku. Lepszy żywy monter niż umarły monter. Całkiem słusznie.

DLATEGO

Kiedy zaproponowano mi napisanie inscenizacji na dzień Bożego Narodzenia, zdecydowałem się — nie ryzykując życia, które skazano już uprzednio. Nawet wtedy nie miałem okazji do popełnienia bohaterstwa.

Nie chciałem z tej inscenizacji robić grupawej szopki ku ucieście Niemców, ani jakichś ckliwych, herodowych jasełek, byłem zdecydowany na napisanie tekstu formalnie i treściowo polskiego, nawet zaczepnego. Dlatego akcji wyznaczyłem miejsce w góralskiej chacie, dlatego osobami działającymi byli górale. (Nie potrzebuję przypominać o polityce Niemców wobec górali, nie byliście w Londynie, ale w Polsce, wiecie sami).

Odrzuciłem zdecydowanie propozycję wspólnego pisania, wysuniętą przez dr. Jagielskiego, który później zresztą i przebiegle streścił tekst i przetłumaczył dla cenzury obozowej.

Napisałem sam, tak jak zamierzałem, napisałem w ciągu jednej nocy w ustępie 21-go baraku. Wybrałem ustęp celem unicestwienia jakichkolwiek późniejszych prób wmurowania tam tablicy pamiątkowej. Nie lubię tablic pamiątkowych.

TEKST

przedstawiłem roztekšnionemu Wojciechowi Dzieduszyckiemu, kochanemu wariatowi Ryškowi Kissowi (do jego cioci pisałyśmy wzruszające listy w sprawie paczek), umuzycznionemu anielsko Nowackiemu i zamyślonemu Romanowi Niewiarowiczowi.

(Niech wybaczą mi Ci, których pomijam z uwagi na oburzającą i niezwykłą kompozycję tego artykułu.)

Ustalono:

Kierownik techniczny: dr. Jagielski.

Dekoracje i charakterystyka: Kiss.

Opracowanie muzyczne: Nowacki (doskonały muzyk!)

Piosenki, chór: Dzieduszycki.

Kierownik literacki: ja.

Kostiumy: Leon (nazwiska nie pamiętam).

Reżyseria: Niewiarowicz.

Nie zgadził niebezpiecznych zwrotów, nie udwuznacznął sytuacji. Wyolbrzymił je, podkreślił, wycieniował, rozbudował do granic prowokacji. Pracował niezmordowanie, omawiał z każdym jego rolę, uczył dykcji, mimiki, gestów.

Zapełnił scenę żywymi ludźmi, obudził ich — śpiących w kościeliskiej, wspartych na ciupagach, ostrzegł, że młynca śmiertelnego nimi wywiną, że uderzą!

Hejnał z wieży Mariackiej zerwany nagle, przeraźliwie, — po raz pierwszy odczułem ból tego zerwania, którego w Polsce nikt nie rozumie — jakby coś pękło — zamarło — i krwawi pauza.

Stoją groźni, marsowi, w tej scenie bliskiego odwetu, nie przebaczą! I wtedy dzwony — głuche — niestygające — dalekie — nie te szyny z poza kulisk ale

DZWON ZYGMUNTA

— wierzymy — widzimy rozkołysany, spirozowy dzwon — słyszymy dźwięki płynące z Polski — budzą — karzą wytrwać — u wierzyć —

Budzą się zastuchani rycerze Polski Kościeliskiej — odzywają — są prawdziwi, mocni — nie wycinał ich Niewiarowicz z tekstu — ale ulepił dłońmi odjętymi od łopaty — dał mi im rozplamione serca — leniwej, zatrutej głodem i lękiem krwi, kazał w nich tętnić —

Rozbudował najprostsze sceny, wypruł z nich ckliwość, odkrył właściwy sens prostych, szorstkich słów — i obrzmiał tęsknotą i Polską — pokazał zdumioną, odurzonej widowni — nie ludziom, ale zwierzętom przemienionym w anioły!

Tak, była ta siła fatalna w klawiszach Nowackiego, w skrzypcach Włodarskiego, w wiolenczelu Romańskiego, w klarnecie „Pieksy“, w głosie Dzieduszyckiego, du-

dnia w kotłach i w bębnie, chwytala za gardła rozdzierającym szlochem —

Skopany poprzedniego dnia przez bandytę niemieckiego Systemich — widziałem jak płakał — on, który nas żywiłowo nie nawidził, który nie rozumiał polskich słów!

— I widziałem oczy Niewiarowicza — stał w kącie sali, wmieszany w tłum urzeczonych, skupiony, smutny, wpatrzony w Polskę, którą wznosił na deskach szopy, którą obudził w zasłuchanych —

Tam była Polska, o tym wszyscy wiedzieli, nawet Niemcy przytłoczeni ogromem wyczarowanych przez Niewiarowicza scen.

...i wiem: na Jasnej — albo... Cichej, tej nocy — gdzieś — na jakimś piętrze, jest puste miejsce, pusty talerz i smutne, bardzo smutne oczy i małe, o-szu-ka-ne serce...

— nie były to miłosne słowa, spreparowane lirycznie „pod Tuwima“ — była w nich groźba ukryta, zawiśła nad głowami Niemców, gniew narastający w zamarłej, skamieniałej sali, zapowiedź odwetu za oczy, które płaczą, za czyjeś noce na opuszczonych piętrach, za „gdzieś“ — w których nas nie ma, za miliony pustych

Tak kazał mówić Niewiarowicz.

miejsc w Polsce!

I tak zrozumiano.

Zdziwił się, kiedy dziękowano mu, kiedy ścisłano mu dłoń i całowano go.

Nie zdziwił się, kiedy wezwano go na oddział polityczny.

Jeden raz, drugi.

Czekano na decyzję, która miała skądś nadejść.

— Podpisz!

Podpisał.

Czekał na śmierć.

W tydzień później zarządzono ewakuację obozu.

Wózkami zwożono do krematorium papiery, stopy papierów. — Podpalono. Spłonął wyrok śmierci Romana Niewiarowicza.

SPŁONEŁA SPRAWA ROMANA NIEWIAROWICZA. Ta — i wszystkie poprzednie.

Wieźniów ładowano pośpiesznie w wagony, wywożono materiały z warsztatów, rozkradano magazyny, rozwalano butami głowy i dobijano chorych.

Wzburzone fale ofensywy sowieckiej, niepowstrzymane, zalewały niemiecką ziemię — słyszeliśmy płacz tonących Niemców, słyszeliśmy zwycięski śpiew katiuszy.

— — — Popychali, bili, krzyczeli; ustawiono nas szeregami, liczono —

Niewiarowicz siedł w innej kolumnie.

Pożegnałem się z nim z daleka — krzy-

cząc —

Ręki nie podałem mu.

— Podajcie mu swoje, za mnie, za siebie.

Jego sprawa spłoneła.

Listy z Polskiego Zachodu

Nowe dzieje zamku w Niemodlinie

Niemodlin, w grudniu.

Nie liczyły się długie wieki panowania niemieckiego na naszych ziemiach zachodnich z możliwością powrotu tych czasów, jakie tu były na początku. Nie pomyślały mury szesnastowiecznego zamku w Niemodlinie, że staną się kiedyś siedzibą polskiego gimnazjum, przytuliskiem uczącej się młodzieży polskiej. Ale bo też czy mury jakiegokolwiek zamku czy pałacu przyjmowały kiedy uczącą się młodzież w swoje szeroko otwarte bramy? Jakież to czasy nastały, że do niedawna rezydencja niemieckiego „grafa“ Hansa Praschmy polskiej młodzieży dzisiaj służy, wczorajsza posiadłość Niemca polskim studentom apartamentu swoje oddaje — na własność, na użytek! Oby jak najwięcej tego rodzaju demokratycznych zdobyczy przypadło w udziale nie komu innemu, ale właśnie uczącej się młodzieży!

Stare dzieje zamku niemodlińskiego — kamień w wodę. Zaczęły się nowe dzieje, dzieje gimnazjalistów polskich, kształcących się tutaj „na ludzi“, dzieje repatriacyjnej młodzieży, która na odzyskanych ziemiach Polskiego Zachodu nowy znalazła świat. Przybywszy zaś tutaj z woli historii, w nowych warunkach przeżywa „zwykły bieg rzeczy“. Stosownie do wieku, o którym zwykło się mówić, że jest „szkolny“, po prostu chodzi do szkoły. W tym wypadku do gimnazjum.

Codziennie akcesoria w szkole to ławki. Są nieodzowne. W zamku hrabiego Praschmy ławki szkolne nie stanowiły umeblowania! Jeżeli chodzi o „nasze“ gimnazjum, to ławki do każdej klasy zostały tutaj zdo-

byte w inny sposób, a tylko trud ich zdobycia był w każdym wypadku mniej więcej jednakowy. Nie sposób jednak w ograniczonym objętościowo „liście“ rozdrabniać się na opisy genezy ławek, zwłaszcza gdy jest ona w odniesieniu do każdej klasy inna. Niemniej rzecz wydaje się godna uwagi. Bez zamku mogło by się gimnazjum w ostateczności obejść, chociaż bardzo się cieszy ze swego pomieszczenia, ale bez ławek? ... Jeżeli jednak gimnazjum niemodlińskie znalazło się w tym szczęśliwym położeniu, że posiadało na własny użytek gmach zamku (który — nie wiadomo — czyby znalazł dla siebie godniejszą instytucję i szczęśliwszą, dyrektorskie ręce), to wypada go choćby po krótko opisać.

Z lotu ptaka widziany zamek jawi się jako dużych rozmiarów czworobok z dziedzińcem pośrodku. Rogi czworoboku zaopatrzone są w renesansowe szczyty. Skrzydła: zachodnie i wschodnie posiadają po dwa piętra, południowe i północne po trzy. Do skrzydła zachodniego przyniera od strony zewnętrznej wieża z bramą wejściową. Wdzięczną ozdobę w postaci parterowego tarasu z dwuramiennymi schodami, prowadzącymi w dół do ogrodu, posiada strona południowa. Skrzydła zamku widziane z dziedzińca są w stylu renesansowym i posiadają charakterystyczne kolumnady.

Nie zostały dotąd oddane do dyspozycji gimnazjum pewne budynki, należące do zamku, nad którymi skrzydła rozciągał T. Z. P. Budynki te, doskonale nadające się na pomieszczenie dla internatu, służą jako magazyny T. Z. P., w których prawie nie

nie ma. Najgorsze zaś jest to, że tych budynków nikt nie konserwuje i za rok będą z tego rudery nie do odremontowania.

Gimnazjum posiada ziemię, przydzieloną mu przez Urząd Ziemski i dzierżawną — bezpańską, ale nie posiada koni do obróbki tej ziemi. Dobrze, że pułk. Sobiesiak bezinteresownie wypożyczył do orki dwie pary swoich koni, ale czy dobrze, że Powiatowa Rada Narodowa nie uwzględniła, niestety, próby o przydział choćby jednego konia, nieodzownego w gospodarstwie, jakie się ma rozwinąć przy gimnazjum? Samopomoc Chłopska również nie zdobyła się dotychczas na przyjęcie z pomocą temu chłopskiemu gimnazjum. Może dla odmiany ciężki przemysł zechce zainteresować się bliżej tą dobrze zaprowadzoną, choć z trudnościami borykającą się, ale pod dobrą dyrekcją pozostającą placówką wychowawczą, której znaczenia nie trzeba chyba podkreślać.

Półowa młodzieży w internacie to sieroty i półsieroty. Czy potrzebne są komentarze? Miesięczny przydział tłuszczu na jedną osobę w internacie wynosi 15 dkg. Czy potrzebne są komentarze? Opłata miesięczna w internacie wynosi 900 zł. Jeżeli ojciec zarabia 1200 zł, to czy potrzebne są komentarze? I tak dalej, i tak dalej...

Gdzie zachodziła potrzeba, młodzież radziła sobie sama, o ile tylko było to w jej mocy. W lutym i marcu dzieci same starały się o opał, a w lipcu same układały zboże w sterty.

Młodzieży tej należy się uznanie.

Aleksander Widera.

Sprawy teatru

„Rozbitki“ w Teatrze Śląskim

Komedia w 4 aktach Józefa Blizińskiego.

Reżyseria Janusza Warneckiego.

Dekoracje Wiesława Makojnika

W artykule pióra Ludwika Hieronima Morstina, komentującym premierę „Rozbitków“ Blizińskiego, wyczytałem niesłusznie zagubione w tekście następujące zdanie: „Nasz Teatr Śląski postawił sobie **sereg poważnych zadań**, między innymi **ustalenia pewnego stylu gry** polskiej klasycznej komedii obyczajowej“. (Wytłuszczenia moje.) Nie ulega wątpliwości, że jest to zadanie bardzo poważne, ale wydaje mi się, że w szeregu innych, równie lub bardziej jeszcze poważnych, traci ono dużo na powadze. Nasuwa się zupełnie uzasadnione pytanie:

„Czy rzeczywiście „prawo serii“ ostatnich premier katowickiego Teatru w ich scenicznej realizacji jest celowym poszukiwaniem „pewnego stylu gry“?”

W Polsce jest jeden tylko teatr, posiadający swój styl gry, inny niż ten, którego poszukuje Teatr Śląski, bo tradycyjny — to Teatr Miejski im. J. Słowackiego w Krakowie. Wiemy jak długo trwało jego ustalenie. Wiemy również, idąc np. na „Grube ryby“ do tego teatru, po jakiej linii pójdzie realizacja przedstawienia, że inwencja reżysera, skrepowana tekstem i jego wierna tradycyjną interpretacją, wypełni postulat wypracowanego w ciągu lat przez stały zespół artystyczny stylu gry. Tym lepiej, powiem, dla innych teatrów; świadczy o tym doskonała inscenizacja „Męża i żony“ i ciekawa „Pana Jowialskiego“ w Katowicach. Nie widzę jednak w serii sztuk granych ostatnio przez Teatr Śląski, a napisanych w ciągu jednego 60-lecia, cech wspólnego stylu gry, widzę natomiast ten sam gatunek stylizacji, zapoczątkowanej we wznowionym „Domu otwartym“, a wzbogaconej w „Rozbitkach“ parodystycznym charakterem niektórych scen, szczęśliwie połączonych z elementami realistycznymi.

Należy z tej serii wyłączyć „Grube Ryby“, które do repertuaru dostały się przypadkiem w miejsce obiecane „Cyrana de Bergerac“ i oprócz znanej już kreacji Leszczyńskiego nie są pozycją odkrywczą. „Pan Jowialski“ był inny niż dotychczas, w nowym też ujęciu ujrzałszy „Rozbitków“. I jeśli celem reżysera było, „by widz mógł się bawić podwójnie“, to cel ten został osiągnięty, a może nawet coś więcej — ale z tym stylem, to moim zdaniem lekka przesada, albo raczej nieporozumienie w interpretacji tego wyrazu. Zresztą „jak Bozia da“ powróć do tego tematu za jakie dwa lata. W tej chwili natomiast jestem pewny, że gdyby „Hamleta“ zagrano obecnie w ten sposób jak w epoce elżbietańskiej, publiczność bawiłaby się nie podwójnie ale dziesięciokrotnie.

Sama komedia o tak niekomicznym tytule jak „Rozbitki“ w ramach tradycyjnej inscenizacji straciłaby całą swoją siłę komizmu, posiadaną w czasach, kiedy bohaterowie jej byli jeszcze rzeczywistymi „rozbitkami“ ale żyjącymi, spotykanymi dość często, nawet na ulicy. Dziś nie spotka się już tych ludzi, utonęli oni razem z okrętem swej epoki, a ci, którzy wówczas stanowili siłę, wdzierającą się na ich miejsce, Dziędzierzynscy, Straszowie, ci którzy ich miejsce zajęli, dziś są właśnie takimi samymi „rozbitkami“, może bez owych karykaturalnych cech degeneracji, ale tym samym wyrokiem podpisanym przez historię. Dlatego stosunek dzisiejszego szarego widza do tej galerii typów komediowych nie może być takim stosunkiem, jaki się ma do ludzi żywych. Ostatnia scena „Jowialskiego“, w której reżyser zamienił wszystkie postacie sztuki w figury rynku żywego obrazu, usunęła wątpliwości, nasuwające się odbiorcom w chwilach wolnych od śmiechu. W „Rozbitkach“ Janusz Warnecki osiągnął ten sam efekt, parodiując w niektórych scenach (np. rozmowa Gabrieli i Władysława w trzecim akcie) sposób scenicznej interpretacji tamtego okresu. Osiągnął tym nie tylko doskonały efekt komiczny, ale wyjaśnił również sens koncepcji, która ma tej przypadkowej, niezamierzonej satyrze odebrać cechy przykry, bo nieaktualnej już zjadliwości.

Zresztą „Rozbitki“ to naprawdę świetna komedia, zdradzająca nie mniejszą pasję pisarską, niż komedie Fredry, a przy tym dająca aktorom i reżyserowi wspaniałe pole do popisu. Warnecki wykorzystał to, wzbogacił ją inwencją doskonałych pomysłów

(„Pieśń Dziewicy“ grana na malowanym fortepianie), a w ryzykownym połączeniu scen stylizowanych z realistycznymi potrafił znaleźć średnią pełnego kultury umiaru.

Jerzy Leszczyński w znanej sprzed wojny roli Strasza grał poza ramami parodii,

Ostatni raz widziałem „Kordiana“ na scenie teatru im. Słowackiego w Krakowie przed kilkunastu laty, a w roli tytułowej rozpoczynał wówczas drugą fazę swej kariery scenicznej wielce obiecujący artysta, Bronisław Dąbrowski, obecny dyrektor teatru katowickiego. Ta rola też utkwiła mi mocno w pamięci, jak i cała inscenizacja Teofila Trzecińskiego. Pamiętam ją tak dobrze, jak pierwszy raz widzianego „Mazepę“ gdy miałem lat dziesięć, jak „Wyzwolenie“ z Osterwą, „Zemstę“ z Frenklem... Dlatego na sosnowiecką premierę dramatu Słowackiego jechałem trochę z treścią. Ale i z ciekawością: nie widziałem bowiem jeszcze roli Kordiana wykonanej po amatorsku. Tym bardziej w teatrze zawodowym. A tu właśnie nadarzała się taka wyjątkowa i bądź co bądź osobliwa okazja, przy czym wykonawcą miał być nie kto inny, jak naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Katowicach.

Przypuszczam, moją treść podzielał i sam teatr. Nie chodzi o tę rolę tytułową, ale już o sam fakt podjęcia próby zrealizowania tak trudnego i stawiającego wysokie wymagania utworu, o wrodzony nam pietyzm dla Słowackiego. Tym milej mi stwierdzić, że spotkało nas w Sosnowcu przyjemne rozczarowanie. To nie był wprawdzie ten „Kordian“ z Krakowa, ani

realistycznie, z właściwym sobie rozmachem, po mistrzowsku. Przed całkowicie zresztą udanym zespołem wymienić jeszcze należy Mieczysława Gielnińskiego (Dziędzierzynski), Stefana Rydla (za wspomnianą już scenę w trzecim akcie) i Zofię Więclawównę (Pola). W pozostałych rolach wystąpili: Roman Hierowski (Szambelaniec), Janina Jabłonowska (jego żona), Władysław Sheybal (Maurycy), Maria Życzkowska (Gabryela), Bolesław Mierzejewski

„Kordian“ w Sosnowcu

żaden inny z dotychczas widzianych, ale było w każdym razie przedstawienie przygotowane solidnie, zagrane równo, na poziomie możliwości sceny sosnowieckiej, z trzech przedstawień, które tam w nowym sezonie widziałem najlepsze. Rzecz prosta, że mowa o teatrze i zespole a nie o samej roli Kordiana we wspomnianym wykonaniu. Ta rola nie ma nic wspólnego z teatrem sosnowieckim a zatem o niej potem.

Inszenizacja i reżyseria spoczywała w ręku pozyskanego okresowo dla Sosnowca Ryszarda Wasilewskiego. Inszenizacyjny trzygodzinny skrót „Kordiana“ nie budzi zasadniczych zastrzeżeń. Pomiedzy pierwszym aktem a monologiem na Mont Blanc przysłałyby się jeszcze jedna scena jako logiczne ogniwo całości, podkreślenie bajronowskich wędrówek niedosłego samobójcy, ale to nie jest specjalnie ważne. Możliwości realizacyjne teatru sosnowieckiego też musiały być brane pod uwagę. W takim skrócie, jaki ujrzałszy, „Kordian“ jest całością dramatyczną zwartą i jasną. Punkt drugi to przemyślane szczegóły inscenizacyjne i staranna praca reżyserska poparta współdziałaniem dekoratora Wiesława Makojnika. Ładnie i zgrabnie połączono w całość wszystkie trzy sceny pierwszego aktu. Doskonale rozwinięto ukazanie Imaginacji i Strachu bez kuszenia się o jakieś ale-

(hrabia Czarnoskalski), Janina Morska (Łechcińska), Janina Burke (Zuzia), Stanisław Gawlik (Michałek), Marian Lech (Łokaj), Lucjan Sapiński (chłopiec z cukierni).

Współtwórca realizacji scenicznej jest Wiesław Makojnik. Jego dekoracje rozwiązywane oryginalnym zestawieniem barw, oddały charakter przedstawienia w sposób równie sugestywny jak najlepsze chwytły reżysera.

Bogdan Butryńczuk.

„Zemsta“ w Opolu

Nie wszystkie klawisze grały tu, jak trzeba... I chociaż jedna z aktorek usiłowała przekonać mnie, że „inaczej mówi się wiersz w gimnazjum(?), a inaczej wymagać trzeba go na scenie“, nieśmiało podpisan, muszę oświadczyć: wiersz brzmiał niestety inaczej niż „w gimnazjum“: obciążony „wadliwą artykulacją i złym akcentem logicznym, brzmiał na ogół błędnie. Przedstawienie nie miało jednolitego wyrazu artystycznego. Role Papkina i reagenta obsadzone były nieodpowiednio, Papkin błaznował, Milczka wcale nie było, Waclaw i Klara ćwierkali jak chcieli, a karykaturalną pozycją w tym wszystkim, to czapki pocziwych murarzy, fruujące nad murem w scenie nieszczęsnej bójki o „miedzę“.

Ba... ale publiczność „biła brawo“, sala rozbrzmiewała salwami oklasków i przed-

Nie przeczę... W roli cześnika wystąpił Bryliński. Wiadomo, aktor z talentem. Doskonałą sylwetkę murarza stworzył Posiadłowski, zmyślnie „podgrywała“ Podstolinę Jerzmanowska, a był i pisarz imię pana cześnika (Judeyko), i kucharczyk także był na scenie (Hupałlo), wszyscy na ogół w formie dość poprawnej. Kilka „szczęśli-

wych“ akcentów miała również Klara. Może więc oni zbierali te brawa? Może. A może to Fredrę tak gorąco i mocno oklaskiwała opinia publiczność, szczeropolski i złoty uśmiech znakomitego poety, satyryka i moralisty. Może... W każdym razie nie wolno bagatelizować sukcesu tej sztuki w Opolu. Mapa kulturalnego promieniowania Teatru Ziemi Opolskiej obejmuje trzydzieści miast, w granicach trzynastu powiatów. W służbie słowa, w służbie najlepszych wartości tego słowa, samochody teatru dniem i nocą przebiegają przestrzenie Ziemi Odzyskanych. Aktor uczy się w samochodzie, często nie osłoniętym od wiatru, w warunkach podobnych do życia żołnierskiej grupy operacyjnej. Żołnierz polskiego słowa... W pośpiechu bojowym trudno myśleć o nie-nagannie lśniącej broni. Spektakl przygotowywany w warunkach „terenowych“, nigdy nie osiągnie należytego poziomu artystycznego, zawsze będzie miał jakieś braki i niedociągnięcia. W imię tej przesłanki szczerze solidaryzuję się z publicznością. Przedstawienie było dobre... I wszystkie klawisze grały, jak trzeba.

Wincenty Hlouszek.



Podstolina.



Cześnik i Klara.

goryczne postacie, wprowadzając je jako oświetlane i niknące w ciemnościach twarze. Inne pomysły budzą wątpliwości. Do nich należy scena z Nieznajomym w akcie drugim, gdzie rolę tę przelano na Kordiana i pozbawiono tego kolorytu i nastroju, jaki dał jej Słowacki. Nieszczęśliwie też rozplanowano scenę i ustawiono sytuację jednego z najwspanialszych fragmentów dramatu, niedosłego zamachu.

Słabo też i trochę niezręcznie pomyślane zostały sceny na placu Saskim i placu Marsowym, przy czym ten ostatni moment psuje końcowy efekt dramatu. Ale mimo to wszędzie znać było staranie i pracę reżysera. Uwydatniła się ona jeszcze w opracowaniu poszczególnych ról. Zespół grał nie na wysokim wprawdzie poziomie, ale równo, bez specjalnie uwydatniających się słabych punktów poza mocno jeszcze niewyroblonymi postaciami spiskowców i z tłumu. Wiersz mówiony był poprawnie, z troską o jego brzmienie i wiązanie okresów, dykcja przynajmniej na bliską odległość dźwięczała czysto. Aktorzy sosnowieccy grali lepiej niż w dotychczasowych sztukach nowego sezonu. Odnosi się to niemal do wszystkich. Wyróżnić należałoby za piękną aparycją i ładne wykonanie roli p. Irenę Zuchowicz (Laura) a poza tym p. M. Mariańskiego (Grzegorz), p. Kruzera (Prezes), p. Ulricha, który w roli W. Ks. Konstantego czuł się znacznie pewniej od swego partnera Cara Mikołaja (p. Rychter). Dobrze też zagrała p. Elżbieta Osterwianka (Imaginacja), chociaż reżyser dla kontrastu ze Strachem trochę za słodko postawił tę rolę zwłaszcza w pierwszej części, co już nie pozwalało na wzmocnienie zbyt dużej ważnej partii końcowej. P. Michalska jako Strach była bez zarzutu.

Od tego ogólnego tła szarmonizowanej gry zespołu odbijała surowość i prymitywna, jeśli chodzi o środki ekspresji scenicznej, gra Kordiana w interpretacji p. Tadeusza Żakieja. P. Żakiej najwyraźniej nie umie grać. Deklamuje swoje kwestie jak na szkolnym poranku wprawdzie ze zrozumieniem i niejakim odczuciem tekstu, ale bezbarwnie, z nieuzasadnionymi spadkami głosu, rozmiażdżaniem poszczególnych słów, których w ogóle zrozumieć nie można. Wyczuwa nawet, jak powinno się daną kwestię zmodulować, jak zaakcentować, ale nie umie tego po prostu wykonać, nie umie powiedzieć, przy czym nie obchodzi się bez rażących potknięć poprawianych z miną ucznia, który się denerwuje z powodu przejęzyczenia. Do tego dochodzi zupełny brak mimiki, jednostajna, martwa maska twarzy i całkowite amatorstwo gestu przy zgarbionej i podciętej w kolanach w postawie, która do Kordiana specjalnie nie pasuje. Każdy jego ruch ręką, każdy układ postaci jest sztuczny, wypożyczony, niezwiązany wewnętrznie z tekstem. Na tle zgranego zespołu te wszystkie usterki raziły wyraźnie i obniżały poziom przedstawienia. Może większa ilość prób i specjalna praca reżysera stonowałaby te błędy.

W każdym razie teatr w Sosnowcu wystawieniem „Kordiana“ dał dobre świadectwo swojej pracy i na prawdę myśli się z przyjemnością o tym, że młodzież szkolna i widz robotniczy Zagłębia Dąbrowskiego zobaczy chociaż takiego nie we wszystkim doskonałego „Kordiana“.

P. Makojnik jako dekorator miał możliwości nieograniczone warunkami sceny sosnowieckiej, nie mniej dał dekorację prostą, w wielu fragmentach interesującą i ładną. Najmniej udały się martwe czaka na Placu Saskim i dziwaczne obramowanie portretu w gabinecie Mikołaja. Najlepszy był akt pierwszy, plac Zamkowy i sala kolumnowa przed sypialnią cara z zastrzeżeniem tych szczegółów, o których mowa była powyżej.

Zdzisław Hierowski

*

Dalszą listę składkę na Nagrodę Literacką „Odry“ podamy w następnym numerze. Już teraz składamy ofiarodawcom serdeczne podziękowanie.

Glossy i notatki

Wśród czasopism

Groźba nowego niebezpieczeństwa niemieckiego jest sprawą, która alarmuje liczne umysły w Polsce, ale której ostrze skierowano nie dla wielu Polaków po zakończeniu działań wojennych w r. 1945. Nie można się temu nawet dziwić, skoro fakt narastania tej groźby nie uświadamia sobie już dzisiaj tylu polityków na światową skalę, skoro nawet ten, który przez pięć lat prowadził naród angielski uparcie i konsekwentnie do zwycięstwa i był jednym z najbardziej nieprzebranych wrogów Niemiec z wzajemnością przez Niemców żywiołowo nienawidzonym — skoro Mr. Churchill chce przebudowywać Europę, w oparciu o rzekomo nowe, demokratyczne Niemcy. Rozumiem, że to jest przykrość dla przeciętnego Polaka po sześciu latach ustawicznego obracania się w orbitę spraw niemieckich w ich najbardziej bezpośredniej i skutecznej formie teraz nadal nastawiać się na politykę enmity i śledzić nowy bieg sprawy niemieckiej w Europie. Tego ludzie naprawdę mają dość, tym bardziej iż myślą, że na drugi dzień po ogłoszeniu zwycięstwa ta sprawa spadnie im wreszcie jak kamień z serca.

Tę kamień spaść, zrzuciliśmy go z ulgą, ale na bardzo krótko. Już po kilku miesiącach powrócił i poleciło nam go znówu na dawny miejscu jeszcze bardziej uciążliwy i jeszcze cięższy. Teraz dźwigamy go znów i dawać musimy, bo mało mamy sprzymierzeńców, którzy chcieliby nam tutaj naprawdę pomóc.

Waga tego problemu poruszył w ostatnim czasie znówu sławny Edmund Osmaciński. Nie chodzi już o „Sprawy Polaków”, ale o dokonany przez niego przedkład obszernego artykułu wybitnego i sławnego badacza niemieckiego, żyjącego na emigracji Friedricha Wilhelma Foerstera (Tygodnik Powszechny nr. 46) oraz o artykuł „Tajemnica roku 1940” (Przebieg nr. 83). Te dwie wypowiedzi minęły jakoś bez echa, a są one przecież potężnym oskarżeniem Niemców, tym silniejszym i ważniejszym, że pochodzącym od samych Niemców, w drugim wypadku bowiem chodzi o wyznania v. Hassela.

Wypowiedź Foerstera stanowi replikę na zurychską mowę Churchilla. Foerster stwierdza, że plany stworzenia Paneuropy z Niemcami jako ważnym czy nawet centralnym jej składnikiem, rzucone przez Churchilla, Niemcom najzupełniej odpowiadają. Oni zawsze marzyli o Paneuropie, a ta Paneuropa, jaką planuje Churchill, byłaby „samobójstwem Europy”. „W ciągu kilku lat — pisze Foerster — mielibyśmy Pan-germanię w miejsce Paneuropy”. Niemcy nie znają nic innego nad „dominowanie” i jeśli znówu się zezwoli, aby mogły rozwinąć i centralizować swobodnie swoją potęgę przemysłową, to wówczas klęska spadnie na świat daleko szybciej aniżeli nastąpiło to po tamtej wojnie”. Denazyfikacja to nie innego, zdaniem Foerstera, jak likwidacja stoletniego okresu niemieckiej historii, okresu którego logicznym i uznawanym jest chłodzi o politykę zagraniczną przez wszystkich Niemców, ukoronowaniem był Adolf Hitler. Denazyfikacja to „odniesienie”, Niemiec tak gruntownie, by wybił sobie Niemcy narezucie z głowy, że raz na zawsze skończyła się ich rola panów. „Jeśli „sprawa niemiecka” — pisze dalej Foerster — jest przedmiotem dyskusji, to nawet wśród licznych uczciwych i dobre myślnych Niemców nie znajdzie się już ani intelektualnej uczciwości, ani miary moralnej, ani obiektywności. To też nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Niemcy w swym obecnym stanie duchowym są narodem z punktu widzenia światowej polityki prostacko-tyranizacyjnym”. „Kto problem rosyjski chce rozwiązywać z pomocą potencjału wojennego, ten zginie, bowiem wywołuje na scenę świata nieo-

bliczalne moce”. Foerster wola w całym swym artykule o jak najdłuższe ubezwłasnowolnienie Niemiec, które odgrodziłoby naród niemiecki przegródą lat i wydarzeń od polityki prowadzonej przez jego wodzów w ostatnim stuleciu.

Druga wypowiedź to przytoczony przez Osmacińskiego we wspomnianym artykule w „Przekroju” pamiętnik v. Hassela, rozstrzelanego w r. 1944, uczestnika spisku Goerdelera i Becka, przewidzianego na stanowisko „demokratycznego” ministra spraw zagranicznych. Pamiętnik ten opisuje szczegółowo kontakty „demokratycznych” kół niemieckich z Anglią w czasie wojny i różne fazy rozmów na tematy ew. pokoju. W tych rokowaniach „demokraci” niemieccy żądali ni mniej ni więcej tylko... granic z r. 1914! A w Londynie podobno dziwowano się tej skromności żądań. Mówiono tam o kurtuazyjnym powołaniu do życia jakiejś tam Polski (irgendem Polen) bez byłych „niemieckich prowincji”, w skali Księstwa Warszawskiego jako nagrody za polską krew, dzielnie przelaną w obronie Anglii. V. Hassel jest ofiarą Hitlera i pośmiertnym bohaterem „demokratycznych” Niemiec. Jego pamiętniki z cytowanymi powyżej passusami już wyszły z druku. Są demokratyczna, pokrzepiająca lekturą zdenazyfikowanych Niemców.

Długość myśle, że wypowiedź Foerstera powinna okazać się w masowym nakładzie jako malutka broszurka. I to nie tylko w Polsce. Powinna być katechizmem dla uczestników zbliżającej się konferencji pokojowej.

Od tych spraw ponurych i groźnych oderwałem się z przyjemnością i radzę robić to każdemu od czasu do czasu dla uniknięcia melancholii — przez lekturę dwóch pism: miesięcznika krajoznawczego „ZIEMIA” i miesięcznika „CYCHRY”. Dwa ostatnie zeszyty tych pism pozwoliły mi odbyć bezpłatną wycieczkę krajoznawczą, i to bez niedoli podróżowania koleją, na szlaku od Paczkowa po wyspę Wolin z polubym w ojczyźnie Zoromskiego, Kielecczyźnie. W numerze 7-ym „Ziem” prof. Mieczysław Orlowicz nestor polskiego krajoznawstwa, dał przepiękny opis krótkiego pobytu w Paczkowie, który nazywa polską Caracasonę, opisując zabytki tego miasta, błądzącego wspaniałym rezerwatem starych historycznych pałaców, mającego dla Polski to znaczenie, co Avilla dla Hiszpanii, Rothenburg dla Niemiec a romańska Caracasona dla Francji. Nawiąduje też do kierowania tam ruchu wycieczkowego, a zwłaszcza wycieczek szkolnych tym więcej, że Paczków położony jest w pięknej okolicy, obfitującej w liczne inne jeszcze zabytki. Równie sympatyczny opis krajoznawczy Kocieli Gór daje w tym samym numerze J. Wąsowicz, a Zygmunt Rakowski opisuje interesujące nasze wyspy w Zatoce Szczecińskiej Wolin i Uznam, z których pierwsza jest dawnym Jomsborgiem, miejscem akcji pierwszego tomu Grabskiego „Sagi o jarlu Broniszu”. Całości tego zeszytu „Ziem” dopełnia zwięzły, informacyjny i pożyteczny artykuł dra Antoniego Wrzóska o skarbach mineralnych Dolnego Śląska.

„Cychry” wychodzą w Kielcach. Przyzwyczajaliśmy się uważać to miasto za zapadłą prowincję bez intensywniejszego życia kulturalnego. Tymczasem widać, że nowa niepodległość wyszła Kielcom na dobre pod tym względem. Mają stały teatr, orkiestrę symfoniczną, urządzają wystawy, organizują dni kultury i tworzą pewne środowisko literackie, do którego przynależą m. in. Wincenty Burek, Jan Bolesław Ozóg, Stanisław Pięta, Józef Ozga-Michalski, i którego organiem jest właśnie miesięcznik pod wspomnianym, tajemniczym trochę tytułem. Pismo to dobrze służy swojemu regionowi, przynosi materiał dla jego miłośników ciekaw i cenny, pielęgnuje tradycje kulturalne i historyczne Ziemi Kieleckiej, umacnia kult Zoromskiego, pracuje nad upowszechnieniem kultury. Bardzo sympatyczne pismo. (ki)

Co robią Niemcy

W Berlinie odbył się proces przeciwko dziewczynie, która zadenuncjowała Goerdelera, jednego z głównych spiskowców i organizatorów zamachu na Hitlera. Proces nie był ciekawy, a oskarżona spotkała się z litościwą życzliwością licznie zebranej publiczności sądowej oraz prasy. Jak wiadomo skazana została na 15 lat ciężkiego więzienia. W dwóch jedynie momentach przewodu sądowego ożywiła się sala.

Oskarżona Helena Schwaerzel tak opisała swoje spotkanie z Hitlerem: „A potem otwarły się drzwi i ukazał się on. Byłam trochę rozczarowana, bo na obrazkach wyglądał on całkiem inaczej niż w rzeczywistości”. Spostrzeżenie to sala przyjęła wybuchem śmiechu. Uśmiechnęli się nawet sędziowie, a część prasy berlińskiej słowa te zamieściła jako motto do rozważań nad procesem („Przekleństwo sztuki — pisze Heinz Watzl w „Der Kurier” — polega na tym, że przedstawiając zbrodnię idealistycznie, pozwala godzić się z nią naszymu sumieniu, a nawet uwielbiać ją. Tak było z Hitlerem, którego sztuka, fotografia, poezja wyidealizowała aż do granic śmieszności. Ale śmieszność tę widzimy niestety dzisiaj dopiero”).

Drugi moment ożywienia stanowiło sensacyjne oświadczenie dr. Rongego, obrońcy oskarżonej, widzącej w procesie pewien rodzaj „szekspirowskiego tragizmu”, który stwierdził, że w gronie spiskowców z 20 lipca znajdowali się również i tacy, którzy pragnęli dokonać przewrotu przeciw Hitlerowi, ale z Himmlerem i dla Himmlera. Ronge wymienił nawet dwa nazwiska tego rodzaju spiskowców, mianowicie byli nimi politycy dr. Langbehn i dr. Popitz.

Proces dał Niemcom nową definicję zdrady narodowej. Prokurator nazwał bowiem zdradą narodową kapitulację rozsądku przed uczuciem. Tak w każdym razie da się według niego określić odstępstwo Heleny Schwaerzel, która dla uczucia, dla wymaganej świętości narodowej, jaką miał być dla Niemców Hitler, zapomniała o konsekwencji swojego czynu, o obowiązku człowieka wobec człowieka.

O zdradzie narodowej mówi się zresztą w Niemczech dużo, tym więcej, że wciąż jeszcze trwa wielki bój o południowy Szlezwik, gdzie kwitnie według Niemców zdrada narodowa najpodlejszego gatunku. Codzienne pismo Flensburga w języku duńskim „Flensborg Avis” w dzień po tamtejszych wyborach, w których nacjonalizm niemiecki ponosił drugą klęskę, napisało: „Danebrog powiewa znówu nad starym flensburskim ratuszem, jak kiedyś w czasach przed 1864”. Na 47.000 wyborców 31.000 oświadczyło się za Danią. „Masło, jajka, ser, kiełbasa i chleb — pisze „Berliner Zeitung” — oto argumenty, które skłaniają do zdrady narodowej kilkadziesiąt tysięcy Niemców”. Gazeta berlińska stara się dyskwalifikować politycznie separatystów szlezwickich, określając ich jako szczególnie gorliwych nazistów z niedawnego okresu. Pewnie, że wielu jest wśród owych separatystów zwolenników Hitlera, w granicach państwa duńskiego pragną się oni uchronić przed karą, gorliwością patriotyczno-duńską odkupić własne winy.

Tymczasem Duńczycy nie kwapią się zbytnio z anektowaniem południowego Szlezwiku. Cała ich akcja ogranicza się na razie do pomocy materialnej, żywnościowej swym tak niespodziewanie objawiającym swe uczucia narodowe współrodakom.

Bój o Szlezwik trwa. W prasie niemieckiej pełno jest klątw, rzuconych na tamtejszych zdrajców. Ale to wszystko, co Niemcy mogą w chwili obecnej przedsięwziąć w obronie Szlezwiku. „Strona niemiecka — przyznaje się „Berliner Zeitung” — zrezygnowała dla świętego spokoju z wszelkiej obrony.” Okazuje się, że w koncepcji polityków niemieckich Szlezwik jest tylko małym fragmentem walki, któremu w chwili obecnej trudno poświęcić większe siły. Jest wiele innych szachów do obrony. Szkoli się w tej chwili młodzież niemiecką na specjalnych kursach partyjnych do obrony politycznej Zagłębia Ruhry i ziem położonych na wschód od Odry. Przedostają się nawet wiadomości do prasy niemieckiej o odczytach dla młodzieży na te tematy. I tak „Frankfurter Rundschau” doniósł, że wygłoszono tam cykl odczytów o miastach śląskich i pomorskich, o stopniu ich zniszczenia i możliwościach odbudowy oraz o planach polskich, realizowanych doraźnie w owych miastach. To są niewątpliwie dla Niemców problemy wielkie i żywiej przemawiające do uczucia młodzieży niż zdrada Flensburga.

Najżywszym zainteresowaniem społeczeństwa niemieckiego i prasy cieszy się poza tym problem obcokrajowców, przebywających na terenie Niemiec. Prasa niemiecka z coraz większą niecierpliwością podaje do wiadomości o napadach i mordach, których autorami są Polacy, Węgrzy, Jugosłowianie lub Rosjanie. Rządsko przy tym spotyka się tak obiektywną

ocenę tego zagadnienia, jak np. ogłoszony w prasie sektora sowieckiego artykuł niejakiego F. D., w którym czytamy: „Jest rzeczą błędną, jeśli w doniesieniach dziennikarskich w tych wszystkich wypadkach kryminalnych przestępstw mówi się o Polakach, Rosjanach, Węgrach i t. p. Tu chodzi bowiem o polskich wrogów Polski, o jugosłowiańskich przeciwników narodów Jugosławii, o rosyjskich zdrajców Związku Radzieckiego, o owe faszystowskie elementy, które boją się wrócić do kraju...”

W wielu wypadkach nie tylko nie mówi się o repatriacji, ale nawet czyni się wszystko, by wysiedleńców zatrzymać w Niemczech. Tego przede wszystkim dowodzi sensacyjna wiadomość o istnieniu w Hamburgu Uniwersytetu Bałtyckiego, gdzie studiuje półtora tysiąca studentów z Litwy,



Z trudem i powoli wracają Niemcy do Schillera, pieśń prawdziwej wolności. W Berlinie w Hebbel-Theater wystawiono z niezwykłym przebiegiem rewolucyjnego młodego dzieła Schillera „Zbójcy”. Na zdjęciu Edward Wandrey jako ojciec Moor i Walter Richter jako Karol Moor.

Łotwy i Estonii, przeważnie byłych członków formacji S. S. Drugie półtora tysiąca Litwinów, Łotyszów i Estończyków stara się o przyjęcie na studia w mieście Bonn, gdzie również projektuje się coś w rodzaju Uniwersytetu Bałtyckiego.

Wracając do personalnego udziału Polaków w przestępstwach kryminalnych, dokonywanych w Niemczech, to żadne artykuły rozsądnych F. D. nie potrafią przesłonić faktu, że jest to jak najgorsza propaganda narodowości polskiej. Oto doniesienia z 7-miu dzienników niemieckich z dnia 15 listopada. W Odenwald Polacy Kotek i Chochrek zamordowali dwóch Niemców. Kara śmierci. W Brunświku 28 Polaków dokonało 25 napadów. 10 wyroków śmierci. Francuska żandarmeria nakryła w Biberach bandę pochodzącą z Polski. 15 uzbrojonych Polaków w Pforzheimie obrałowało mieszkankę krawca, podpalając dom. W Hamburgu w obozie dla wysiedlonych Polaków odkryto centralę handlu złotem. W Ludwigsburgu Polak zamordował szofera niemieckiego rabując kilkanaście tysięcy marek. Kara śmierci. I t. d. i t. d. Dość tego smutnego rejestru.

* * *

Z najnowszych wydawnictw warto wymienić trzy rozprawy wydane w Monachium w jednym tomie p. t. „Odrodzenie humanizmu”. Piotr Schefer w swoim „Kazaniu humanizmu” stara się zdefiniować i rozpoznać własną świadomość, przy czym uwagi swoje opiera głównie na rozprawie Mac Leisha, ogłoszonej w piśmie „Amerikanische Rundschau”. Bardziej pedagogiczny charakter posiada Bernharda Segfeldera „Wychowanie w kierunku humanizmu”. Najlepsza jest ostatnia rozprawa Filipa Lerscha „O istocie nauk humanistycznych”, zwrócona do studentów monachijskich. Opierając się na terminologii Diltheya omawia Lersch różnice zachodzące między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi, zwracając uwagę na konieczność pełniejszego rozwoju tych ostatnich.

Ukazały się dwie nowe gazety niemieckie. W Monachium „Münchener Mittag” i w Stuttgardzie „Stuttgarter Nachrichten”. Właścicielami licencji w obu wypadkach są liberalni chrześcijańscy demokraci.

Wisz.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szweczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.). Tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice; 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik”. R — 23171

Tydzień Katowic

21. XI. — 27. XI. 1946 r.
ŻYCIE LITERACKIE:
23. XI. Stanowem tutejszego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich odbył się wieczór autorski pisarzy łódzkich. Marian Piechał czytał szereg swoich wierszy, m. in. 4 wiersze z cyklu „Listy do syna”. Kazimierz Truchanowski — wystąpił z fragmentem powieści „Zmowa Demurgorów”. Tytuł fragmentu: „Wielka gra”. Grzegorz Timofiejew czytał 9 wierszy z cyklu „Jeden dzień”. Wieczór odbył się w sali Instytutu Śląskiego.
25. XI. odbył się IX wieczór Klubu Literackiego, poświęcony pamięci Stanisława Wyspańskiego. W ramach wieczoru prelekcję o twórcy „Wesela” wygłosił Tadeusz Stalich. Zespół rapso-dyczny Klubu recytował fragmenty twórczości Wyspańskiego.
ŻYCIE MUZYCZNE
27. XI. w auli Wyższej Szkoły Muzycznej odbył się zorganizowany przez Centralne Biuro Koncertowe Z. Z. Muzyków R. P. recital fortepianowy Jerzego Zurawlewa. Pianista wykonał Sonatę Księżycową (cis-moll) Beethovena, Chaconnę — Bacha-Bussoniego, Malgorzata przy kolowroku — Schuberta-Liszt, Preludium gis-moll — Rachmaninoffa, Nokturn cis-moll, Balladę f-moll i etude c-moll (rewolucyjną) Chopina, Walec des-dur Chopina — Michalowskiego i Triang — Albenitza.

NAGRODA LITERACKA MIASTA KATOWIC

W dniu 3 grudnia 1946 roku przyznana została nagroda literacka miasta Katowic za rok 1946. Nagrodę otrzymał Wilhelm Szweczyk za tom poezji „Posagi”. Nagroda wynosi 50.000 złotych, uroczystość wręczenia nastąpi w połowie grudnia w lokalu Instytutu Śląskiego.

ŚWIĄTECZNY NUMER „ODRY”

ukaze się w podwójnej objętości. Numer zawierał będzie artykuły wybitnych pisarzy polskich na tematy zachodniopolskie, prozę artystyczną, wiersze i ponad 20 ilustracji. Do numeru dołączony zostanie dokładny spis rzeczy „Odry” od jej założenia (lipiec 1945) do końca 6. roku.

Księgarnia „EX LIBRIS”, Kraków, Marka 22 poleca:

- DR. M. TOBIASZ: Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce. Cena 200,— zł.
- DR. M. TOBIASZ: Pionierzy odrodzenia narodowego i politycznego na Śląsku. 1763 — 1914. Cena 250,— zł. (Lektura zatwierdzona przez Min. Oświaty.)
- DR. W. WALCZAK: Mapa komunikacyjna świata. Cena 30,— zł.
- DR. W. WALCZAK: Mapa gospodarcza świata. Cena 35,— zł. (96)

»ORION«

bo jest gwarantowany i daje trwałe i piękne kolory.
Do nabycia we wszystkich drogeriach i składach farb. — Składnica fabryczna: Katowice, ul. Starowiejska 3. — Tel. 354-64